

EILEEN WILKS

Oświadczyły

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy Jane zaczęła żałować swojej nierozwagi, było już za późno. Wpakowała się w kłopoty i tkwiła teraz w jeziorze, zanurzona w wodzie po szyję.

Jezioro należało do płytkich. Problem stanowiły wojskowe buty, które na wysokości oczu dziewczyny rozdeptywały w tej chwili błotnisty brzeg. Przykucnęła za krzakiem rosnącym w wodzie, pragnąc stać się niewidzialną.

Żałowała, że w ogóle kiedykolwiek usłyszała o istnieniu małego karaibskiego narodu z wyspy San Tomas. Jeszcze bardziej żałowała, iż zdecydowała się odkupić bilet na rejs od kolegi, który pracował w tej samej szkole co ona, a którego żona tuż przed wakacjami dostała zapalenia wyrostka robaczkowego. A najbardziej żałowała tego, że, wiedziona rzadką u niej chęcią przeżycia przygody, zeszła z pokładu statku, bo zapragnęła zwiedzić samo serce wyspy.

Czemu, och, czemu zdecydowała się zerwać z dotychczasowym, spokojnym trybem życia?

Buty należały do żołnierza. Obok stał jego kolega, którego nie widziała zza krzaka, a w tropikalnym lesie kryli się inni. Wszyscy szukali właśnie jej i mieli broń, przypominającą tę, której używał Rambo.

Woda była ciepła, powietrze gorące, a jednak Jane drżała.

Dopóki nie usłyszała strzałów, czuła się tu świetnie. W autobusie zaprzyjaźniła się z kilkoma osobami, choćby z parą tutejszych mieszkańców, którzy z dumą opowiedzieli jej o tamie wybudowanej niedawno w najbliższej okolicy. Jane była bardzo wdzięczna za tę informację. Dzięki tamie utworzyło się rozległe; płytkie jezioro, w którym teraz się kryła. Woda zalała część lasu, lecz nie zdołała zatopić drzew i części krzewów. Krzak, za którym kryła się Jane, miał jeszcze wystarczająco dużo liści.

Nie mogła teraz dostrzec żołnierskich twarzy, choć widziała je w wiosce, nim stamtąd uciekła. Wszyscy partyzanci wydawali się bardzo młodzi - mniej więcej w tym samym wieku co jej uczniowie z Atherton. Kiedy wysiadała z autobusu, dostrzegła kilkunastu młodzików ze strzelbami niedbale przerzuconymi przez kościste ramiona, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Na San Tomas widok żołnierzy nie stanowił niczego niezwykłego.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Gdy kierowca autobusu oznajmił, że muszą się zatrzymać, by dokonać jakiejś naprawy, nie przejęła się tym, bo i tak miała poszukać toalety. W chwilę potem, kiedy weszła do miejscowej jadłodajni, wbiegł chłopak, którego poznała w autobusie. Próbował ją ostrzec, lecz mu nie uwierzyła, póki podczas mycia rąk nie usłyszała strzałów.

Wyskoczyła przez okno i uciekła, chcąc ratować życie. Błotnista ścieżka doprowadziła ją do jeziora.

- Hernandez to głupiec - powiedział po hiszpańsku jeden z żołnierzy. - Widzisz jakąś kobietę? Pewnie, że nie, bo jej tu nie ma. Kto by uciekał do jeziora? Nawet Amerykanka nie jest taka głupia. A choćbyśmy ją znaleźli, to co nam to da? Czy okup, o którym mówił, trafi do naszych kieszeni?

Drugi żołnierz zachichotał i dobitnie wyraził, co myśli o rozkazach Hernandeza. Jego kompan odpowiedział śmiechem.

Do kogo strzelali w wiosce? Jane starała się o tym nie myśleć, bo zaczynała wówczas drzeć, a każdy ruch mógł ją zdradzić. Próbowała nawet wstrzymać oddech, lecz bardzo trudno było zachować spokój, gdy na rękę wpełzł jej jakiś robak. Zrobił to, gdy chwyciła dłonią za gałąź krzaka, co okazało się zbędnym ruchem, bo teraz nie mogła pozwolić sobie na to, by ją puścić. Żołnierze usłyszeliby szelest.

Robak był ogromny i obrzydliwy, długi jak mały palec Jane. Siedział na ręce i patrzył na nią, świecąc w słońcu

czarnozielonym pancerzem. Miał stanowczo za dużo odnóży. Jane nienawidziła ich dotknięcia.

Wpatrywała się w robaka, słuchając śmiechu i obscenicznych żartów żołnierzy. Drugą ręką dotykała wisiorka zawieszzonego na cienkim łańcuszku na szyi. Dwaj mężczyźni sprzeczekali się tymczasem, gdzie mają jej szukać. Potem zaczęli opowiadać, co by zrobili, gdyby ją znaleźli.

Usłyszała, że jeden z nich się oddał, lecz strach nie minął. Mogli tak gadać, by sobie wzajemnie zaimponować, pomyślała. Mimo że uzbrojeni, byli przecież niemal dziećmi. Takich jak oni uczyła w Atherton hiszpańskiego. Mówili o czymś, czego nie rozumieli. Przecież nie mogli serio myśleć o tym, co zamierzali jej zrobić. Ogarnął ją strach. Czuła, że łańcuszek na szyi zaczyna ją dusić. Tato, pomyślała, dlaczego zawsze mówiłeś, że jestem do ciebie podobna? Nie szukam przygód.

Zastanawiała się, co przeżyli inni cudzoziemcy poznani w podróży. Modliła się, by wyszli cało z opresji. Choćby taka sympatyczna para Niemców albo wspaniały mężczyzna w okularach w złotej oprawce, który siedział po przeciwnej stronie autobusu. Jakoś nie mogła pozbyć się myśli, że strzały były przeznaczone dla niego. W czasie jazdy rozmawiała z wieloma pasażerami, ale nie z nim.

Zwykle łatwo zawierała znajomości. To jedyna zaleta, która płynęła z tego, że Jane nie zwracała uwagi swoją osobą. Ludzie czuli się z nią dobrze, bo wydawała się im taka zwyczajna. Nowi znajomi zawsze twierdzili, iż kogoś im przypomina - sympatyczną koleżankę szkolną, córkę sąsiadów.

Lecz człowiek, którego w myślach określiła mianem profesora, trochę ją niepokoił. Może z powodu okularów, które nosił? Mężczyzna ów zachowywał rezerwę, więc uznała, że zapewne jest nieśmiały.

Z jakiegoś powodu zafascynowały ją jego dłonie. Były duże z długimi, smukłymi palcami. Zauważyła na nich sporo drobnych zadrapań, jakie miewają robotnicy. Coś ją opętało na punkcie tych dłoni, bo zaczęła snuć na ich temat erotyczne fantazje. Nieznajomy jej nie zauważył. W ogóle mężczyźni rzadko zwracali na nią uwagę.

Co się z nim stało, pomyślała. Jeśli partyzanci brali jeńców dla okupu, nie mogli skrzywdzić cudzoziemców z autobusu.

Męskie buty tkwiące niedaleko krzaka poruszyły się. Robak również zdecydował się zmienić położenie i łaskotał rękę Jane tysiącem nóżek tak, że z trudem zachowywała spokój.

Nie mogła dostrzec, co robi żołnierz, lecz słuch podpowiadał, iż nie odszedł daleko. Usłyszała trzask zapałki i poczuła zapach siarki. Przez chwilę sądziła, że prześladowca zamierza podpalić krzaki, lecz uspokoiła ją woń tytoniowego dymu. Zatrzymał się, by zapalić papierosa, i palił go tuż obok kryjówki Jane.

Robak tymczasem zatrzymał się na jej łokciu.

Drzewa cynamonowe mieszały się w tropikalnym lesie z cedrami, mahoniowcami i zaroślami bukszpanu. Część z nich wyginęła w ciągu roku, mając korzenie zalane wodami niedawno powstałego jeziora. Wielki mangowiec rosnący kilka metrów dalej, na północnym brzegu zbiornika, przetrwał.

Człowiek przycupnięty wśród jego gałęzi miał z nim wiele wspólnego. Znawczy miejscowej flory twierdzili, że mangowce są tu czymś obcym, lecz umiejętnie zaadaptowały się do życia na wyspie. Nieznajomy przetrwał jak to drzewo. Podobnie jak ono potrafił wtapiać się w przestrzeń, do której nie należał. Teraz wyciągnął się wygodnie na grubym konarze i obserwował kobietę oraz żołnierzy. Miał mieszane uczucia w

stosunku do nowo utworzonego jeziora. Z jednej strony pomogło ukryć się dziewczynie. To dobrze. Z drugiej zalało trakt, którym zamierzał dotrzeć na umówione miejsce spotkania po drugiej stronie wyspy.

Sytuacja się zmieniła. Musiał podjąć jakieś decyzje.

Mangowiec dawał większą szansę na ukrycie się niż krzak, za którym tkwiła kobieta. Można było obserwować stąd żołnierza tak zwanej Armii Wyzwoleńczej Ruiza i dziewczynę w jeziorze. Jej jasna sukienka unosiła się na powierzchni błotnistej wody, czyniąc kryjówkę łatwo dostrzegalną.

Nieznajoma znajdowała się w dość opłakanym stanie. Nawet włosy jej oklapły i mokrym, ciemnym kaskiem oblepiały głowę.

Widział te włosy, kiedy były suche i połyskiwały w słońcu, jakby płonęły w nich iskierki. Zauważył tę kobietę w autobusie. Czasem jego życie zależało od tego, czy dokonał właściwych obserwacji otoczenia, więc przyjrzał się wszystkim pasażerom, włącznie z wesołą amerykańską turystką, która gawędziła z innymi, sprawnie posługując się hiszpańskim.

Zatrzymał na niej wzrok dłużej, niż miał to w zwyczaju. Była tak bardzo amerykańska, tak zwyczajna, że aż przyciągnęła uwagę. Ale jej włosy trudno było nazwać zwyczajnymi. Miały ciepły, złocistobrazowy odcień i taką gęstość, że z przyjemnością zanurzyłby w nich dłonie.

Mężczyzna pokręcił głową. Głupia dziewczyna! Siedziała za tym krzakiem, jakby miało to uczynić ją niewidzialną. Czy nie wiedziała, że jeśli żołnierz zrobi kilka kroków w kierunku wschodnim, to ją zobaczy?

Pewnie nie. Większość ludzi nie umie przewidywać, a ona była cywilem. Jedyne pojęcie, jakie miała o ukrywaniu się, zostało wyniesione z zabaw w chowanego, które szybko zamieniła na całowanie się z chłopakami.

Przypomniał sobie jej śmiech w autobusie. Rozmawiała z chłopcem, którego on potem wysłał, by ją ostrzec przed partyzantami. Miała ciepły, przyjazny śmiech i te wspaniałe włosy. Kiedy się śmiała, myślał o tym, by ją pocałować.

Żołnierz wyrzucił niedopałek, poprawił broń i ruszył na wschód. Kobieta nie drgnęła. Wciąż siedziała w wodzie. Wątpił, by widziała człowieka, który jej szukał. Nie miała pojęcia, iż partyzant za chwilę dostrzeże kryjówkę.

Właściwie to sprawa bez znaczenia, pomyślał. To, czego dowiedział się o związkach między dwiema grupami terrorystów, mogło zaważyć na losie znacznie większej liczby kobiet niż ta jedna. Kiedy zostanie złapana, bo tak się stanie, nie będzie długo cierpieła. Ruiz interesował okup. Samozwańczy generał nie był do końca zdeprawowany i nie miał potrzeby krzywdzić swoich więźniów. Kobięcie grozi kilka trudnych do przetrwania tygodni, ale wszystko powinno skończyć się dobrze. Ruiz nie chce, by prasa przedstawiała go jako barbarzyńcę. Pragnie po prostu pieniędzy.

Tylko... Ruiz nie był prawdziwym generałem, a nawet żołnierzem, mimo że nosił fantazyjny mundur i cytował Che Guevarę. Miał niewielką kontrolę nad oddziałami partyzantów. Część jego podwładnych szczyliła się dobrą opinią, inni zasługiwali na miano bestii.

Jeżeli ją zgwałcą, pomyślał, już nie będzie się tak radośnie śmiała. Długo tego nie zrobi, a może nawet nigdy.

To mnie nie dotyczy, pomyślał, nie wiąże się ze sprawą, dla której tu przybyłem. Przecież ją ostrzegłem, wierząc, że zdoła schronić się w bezpiecznym miejscu. Więcej nic nie da się zrobić, jeśli nie chcę się narażać na zdekonspirowanie.

Tak myślał, lecz jego ręce już szykowały się do działania.

Robak przesunął się kilka centymetrów poniżej łokcia Jane, gdy usłyszała nagłe stuknięcie, jakby coś ciężkiego spadło na ziemię gdzieś niedaleko.

Drgnęła, poruszyła ramieniem, wypuściła z ręki gałąź, a robak wpadł do wody.

To było coś w rodzaju uderzenia. Po siedmiu latach praktyki nauczycielskiej i dwudziestu dziewięciu latach życia w towarzystwie dwóch braci, którzy często kłócili się i wszczynali bójkę, Jane знаła ten dźwięk. Z trudem przełknęła ślinę i zaczęła wycofywać się z kryjówki w przekonaniu, że trzeba uciekać. Mokra sukienka owinęła się wokół nóg, krępując ruchy.

Zatrzymała się na chwilę, przykucnąwszy nisko. Niczego nie było już słychać, nawet ptaki ucichły. Głupi robak płynął teraz w jej kierunku, a żołnierza straciła z oczu. Nie miała pojęcia, co się dzieje i co powinna zrobić. Starła się myśleć rozsądnie, lecz nie na wiele się to zdało w tak niezwyklej sytuacji, więc, niezdecydowana, nadal tkwiła w jednym miejscu.

Co to? Tuż za nią...

Nim zdążyła się odwrócić, ktoś zacisnął jej rękę na ustach. Ze strachu serce zaczęło bić mocniej. Chciała ugryźć napastnika, lecz długie palce ściskające policzki uniemożliwiały Otwarcie ust. Nieznajomy odchylił jej głowę do tyłu. Nabrała powietrza przez nos i poczuła zapach mężczyzny, który unieruchomił ją jednym ramieniem i zmusił do przyklęknienia. W wodzie tak, że miała ją powyżej piersi.

Pomyślała, iż napastnik może poderżnąć jej gardło. Poczowała mdłości.

- Żołnierz, który palił, leży nieprzytomny, ale jest drugi, stojący trochę dalej, po zachodniej stronie - powiedział szeptem mężczyzna. - Może nas usłyszeć, gdy narobimy hałasu. Czy zamierza pani krzyczeć, jeśli zdejmę rękę?

Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem. Jane odczuła ulgę i pokręciła głową. Mężczyzna usunął dłoń z jej twarzy, lecz drugą ręką ciągle obejmował ją w pasie.

Wstrzymała oddech, by go upewnić, że będzie cicho. Gdy rozluźnił uścisk, omal nie upadła, lecz podtrzymał ją ramieniem. Jane odwróciła się powoli i... jeszcze chwila, a zapomnieliby, że powinna zachowywać się cicho.

Nieznajomy nie nosił teraz okularów, ale poza tym niewiele się zmienił. Miał tę samą fryzurę: proste, ciemne włosy ujęte w kucyk z tyłu głowy. Wraz z okularami zniknął jednak człowiek, którego pamiętała z autobusu. To przez te oczy, pomyślała. Zimne, niebieskie jak niebo oczy, którymi na nią spoglądał, z pewnością nie należały do nieśmiałego profesora. Mężczyzna, stojący obok w spodniach mokrych po udu, miał w wyglądzie coś, czego nie potrafiła zdefiniować.

Położył palec na ustach, nakazując jej spokój, a Jane przypomniała sobie jego smukłe palce i dłonie z drobnymi zadrapaniami. Choć wydawał się innym człowiekiem, dłonie zostały te same.

Skinęła głową na znak, że rozumie. Odwrócił się, a ona zrobiła to samo, posuwając się w wodzie sięgającej do bioder. Robak poruszał się bezradnie, kręcąc się w kółko po jeziorze. Jane zawahała się przez moment. Głupie stworzenie wyraźnie tonęło. Krzywiąc się z obrzydzenia, wyłowiła go i umieściła na liściu krzaka.

Mężczyzna, który z pewnością nie był profesorem, zatrzymał się po paru krokach i popatrzył na nią z niechęcią, jakby chciał spytać, czy nie zwariowała. W ten sposób zwykł zachowywać się Doug, gdy sądził, że zrobiła coś głupiego, co ostatnio zdarzało się często podczas ich trwającego kilka miesięcy, źle rokującego związku.

Uczyniła przeproszający gest i uśmiechnęła się, lecz mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu. Odwrócił się i skierował ku zachodniemu brzegowi jeziora, co wydawało się pozbawione sensu, skoro, jak sam powiedział, krył się tam drugi żołnierz. Nie wiedząc, co robić, podążyła za nim. Czuła

się jak ten tonący robak i miała ochotę płakać. Z jednej strony pragnęła, by wrócił profesor o chłopięcym wyglądzie. Z drugiej wiedziała, iż ktoś, kogo sobie wyobraziła na podstawie okularów w złotej oprawce, nie wiedziałby, co robić w takiej sytuacji. A człowiek o zimnych, niebieskich oczach i smukłych dłoniach nie czuł się zagubiony.

Dotarli do drzew zanurzonych w wodzie. Nieznajomy dał znak, iż chce, by tu zaczekała. Skinęła głową, ufając, iż wie, co robi. Jeszcze bardziej niż robaków nie znosiła sytuacji, w których czuła się bezradna. Znow spróbowała się uśmiechnąć, lecz ciągle bolały ją policzki od ucisku jego dłoni. Podobnie jak w autobusie zaczęła fantazjować na temat tych rąk, lecz nie trwało to długo. Mężczyzna podszedł tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała. Kosmyk włosów, który wysunął się mu z zapinki, dotknął skóry Jane, gdy się nad nią pochylił.

- Chcę się uporać z drugim partyzantem - szepnął tak cicho, że ledwie go słyszała. Musnął przy tym wargami płatek jej ucha. - Raczej go nie zabiję. Łatwiej z nim sobie poradzę, jeśli będę sam.

Skinęła głową, zgadzając się zostać pod drzewem. Próbowwała wmówić sobie, że gęsia skórka to skutek przemoczenia, a nie dreszczy spowodowanych dotykiem męskich warg.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drugi żołnierz dał się zaskoczyć równie łatwo jak pierwszy. Mężczyzna zaszedł go od tyłu i obezwładnił, zaciskając rękę na gardle. Ofiara nie walczyła długo. Odcięcie dopływu krwi do mózgu pozbawiło partyzanta przytomności. Siedem sekund później napastnik złożył ciało nieprzytomnego na ziemi i zbadał puls, by się upewnić, czy tamten żyje.

Zabójstwo przypadkowego żołnierza byłoby kiepskim zakończeniem kariery w agencji, pomyślał. Tylko chwilę zajęło mu skrępowanie powalonego jego własnym pasem. Nie mógł pozwolić sobie na nic więcej, bo wokół czaili się inni partyzanci i nie wszyscy musieli być tak kiepsko przygotowani do walki. Poza tym nie szukali wyłącznie kobiety.

Wyprostował się, by spojrzeć na swoją ofiarę. Na ziemi leżał nastolatek, który pewnie się jeszcze nie golił. Mężczyzna zastanowił się przez moment, czemu ci żołnierze są ciągle tacy młodzi, a on robi się coraz starszy.

Zachowując ciszę, wrócił do dziewczyny ukrytej za drzewem. Patrzyła w odwrotnym kierunku. Jej cienka, długa suknia była niegdyś luźna i biała. Teraz oblepiała ją po kostki mokra, brudna i prawie przezroczysta tkanina. Mężczyzna miał wspaniały widok na białe bikini prześwitujące przez wilgotny materiał.

Uśmiechnął się do siebie.

- Buu... - zaryczał tuż nad jej uchem, aż odskoczyła o kilka kroków. Sam nie wiedział, dlaczego nagle zachciało mu się żartów.

Gdy na niego spojrzała, już się nie uśmiechał. Pomyślał, że mimo wszystko ładnie wygląda z tą swoją niewinną, okrągłą buzią. Ciało też miała przyjemnie zaokrąglone tam, gdzie trzeba. Nawet jej duże, brązowe oczy były teraz okrągłe. Po chwili zmrużyła je lekko.

- Celowo mnie pan przestraszył. Zakładam, że drugi żołnierz jest... nieprzytomny?

Wzruszył ramionami. Niech się zastanawia nad tym, co zrobił. Uważał, że powinna przyzwyczać się do zaskakujących zmian sytuacji.

- W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Chodźmy - powiedział.

- Dokąd?

Wskazał głową na swój mangowiec.

- Dokąd idziemy? - powtórzyła, podążając za nim w mokrych tenisówkach.

- Najpierw po moje rzeczy - wyjaśnił i podciągnął się na gałęzi, by zabrać ukryty na drzewie plecak.

- A potem?

- Do wioski, niedaleko szosy Camino Real.

- Ale ja chciałabym wiedzieć...

- Mówi pani po hiszpańsku, prawda? Wierzę, że dotrzemy do wioski przed nocą, choć dokładnie nie znam drogi. Nie mamy jednak wielkiego wyboru, tkwiąc między jeziorem a oddziałami Ruiza. Uwaga! - ostrzegł, zrzucając z drzewa na ziemię swój plecak.

Jane uskoczyła w ostatniej chwili. Mężczyzna stanął obok i pomyślał, że z przodu wygląda równie ładnie jak z tyłu. Mały, złoty wisiołek połyskiwał w zagłębieniu między pełnymi piersiami. Staniczek okrywał ponętny biust, odznaczający się wyraźnie pod wilgotną sukienką. Widząc to wszystko, poczuł lekkie, przyjemne podniecenie. Dziewczyna wyraźnie nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wygląda w przezroczystym ubraniu.

- Camino Real ciągnie się w górzystej części wyspy na wschodzie - zauważyła. - Czy nie powinniśmy kierować się na południe, skąd przyjechaliśmy? Albo na zachód, gdzie leży

spore miasto, Narista, o ile pamiętam. Pewnie mają tam posterunek policji.

Uniósł brwi, podziwiając pilność, z jaką odrobiła pracę domową z geografii.

- W wiosce, o której mówię, mieszka zaufany człowiek. On pomoże pani dostać się do stolicy.

Tam, jak sądził, mogłaby się zatrzymać, bo miejscowe władze przykładały wielką wagę do tego, by turyści z zawijających na wyspę statków czuli się na San Tomas bezpiecznie.

- Nie możemy iść na południe, ponieważ oddziały Ruiza kontrolują drogę - wyjaśnił, zakładając plecak.

- Kim jest Ruiz?

- To człowiek, który wysłał żołnierzy, by panią porwali. Chodźmy.

- Chwileczkę - rzekła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Poczuł ciepło jej dotyku i zatrzymał wzrok na wypielegnowanych paznokciach, z których pod wpływem wody zaczął odpryskiwać różowy lakier.

- A kim pan jest? To znaczy widziałam pana w autobusie, ale nie przedstawiliśmy się sobie.

- Jestem John. - odrzekł, wymieniając pierwsze lepsze imię, jaki mu przyszło do głowy. - John - powtórzył.

- Miło mi, John - powiedziała, przyjaźnie ściskając rękę mężczyzny. - Mam na imię Jane.

Znów ogarnęła go fala ciepła.

- Dziękuję za... - zaczęła dziewczyna.

- Chodźmy - ponaglił, kierując się ku ścieżce wiodącej w las.

Ruszyła za nim, czyniąc hałas, którego się spodziewał.

- Dlaczego nie idziemy na zachód, zamiast pakować się na wzgórze? - zapytała.

- Idź, jeśli chcesz. Ja idę na wschód.

Czuł się lekko zaniepokojony reakcjami swojego ciała na bliskość Jane. Wiedział, jak się zachować, gdy groziło niebezpieczeństwo, jak reagować na podniesiony poziom adrenaliny, lecz nie miał doświadczenia w obchodzeniu się z kobietami, których dotyk tak na niego działał. Przecież tylko ścisnęła go lekko za ramię, a całe jego ciało zostało zaalarmowane.

Teraz już nie tylko chciał ją pocałować, ale położyć na trawie i kochać się z nią do upojenia.

Jane podążała za nim w milczeniu. Już miał nadzieję, że zawróci i pójdzie na zachód, by znaleźć się pod opieką policji w cywilizowanym mieście, tak jak w to wierzyła. Oczywiście ludzie Ruiza mogli schwytać ją, nim uszłaby kilometr.

Wędrowali w ciszy, posuwając się wolno, ale uparcie do przodu. John używał kompasu, by określić kierunek, i późnym popołudniem znaleźli się w wilgotnym, tropikalnym lesie porastającym wzgórze. Panował tu gęsty, zielony półmrok, bo światło z trudem przedostawało się przez liście. Mężczyzna, który przedstawił się jako John, był najwyraźniej w swoim żywiole. Nie zwracając uwagi na otoczenie, parł naprzód.

To miała być jego ostatnia usługa dla agencji. Od czasu śmierci Jacka zdawał sobie sprawę, iż powinien z tym skończyć, lecz jego dzisiejsze zachowanie tak dalece odbiegało od normy, że zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinien był podejmować się tego zadania, nawet jeśli czuł się do tego zobowiązany, bo wiele zawdzięczał Patrickowi, który prosił go o tę przysługę.

Odwrócił się, usłyszawszy za sobą pisk dziewczyny, która gwałtownym ruchem strząsała z ramienia pająka czy innego owada.

- Coś cię ugryzło? - zapytał z nieoczekiwaną troską, wiedząc, iż ukąszenie niektórych insektów na wyspie może być groźne.

- Nie, tylko po mnie łąziło - odparła słabym głosem.
- Jednego robaka dziś uratowałaś - przypomniał jej.
- Bo tonął - powiedziała, rozcierając ramię. - Nie mogłam pozwolić, by zginął, po tym jak... myślał, że na moim ramieniu będzie bezpieczny, a ja zawiodłam. Więc kiedy wpadł do wody, poczułam się za niego odpowiedzialna.

John popatrzył na nią z niedowierzaniem. Czowała się odpowiedzialna za robaka?

- Daj spokój. Widzę pieńek, na którym będziesz mogła usiąść. Musimy zmienić mokre skarpetki.

- Dlaczego? - spytała, kuśtykając za nim. - Przecież i tak mamy mokre buty.

John zatrzymał się, by rozpiąć plecak.

- Jedną z pierwszych zasad w tym klimacie i w takim terenie jest zadbanie o suche stopy - odparł, podając Jane skarpety.

Wzruszyła ramionami i usiadła. John zmienił swoje skarpetki na stojąco, dokładnie sprawdzając, czy nie ma na stopach żadnych skaleczeń. Otwarte ranki są w tropiku bardzo niebezpieczne. Gdy włożył buty, spojrzał na swoją towarzyszkę i zmarszczył brwi. Zbyt długo zajmowała się zmianą skarpetek. Na jednej nodze miała już suchą. Z drugiej wolno zdejmowała mokrą skarpetkę, na której widniał czerwony ślad.

- Krwawisz - zauważył.

- Błyskotliwe spostrzeżenie - odparła. - Wiesz, że mokre buty i skarpetki powodują pęcherze.

- Zostawiając nie opatrzoną ranę, można nabawić się infekcji. - Pokręcił głową z dezaprobatą i jeszcze raz rozpiął plecak. - A co z drugą nogą? - zapytał.

- W porządku.

Pomyślał, że jest wytrzymała, skoro tak długo szła bez narzekania, choć noga musiała jej piekielnie dokuczać.

- Zdejmij but - nakazał, wyciągając maść i gazę opatrunkową. - Muszę obejrzeć obie twoje stopy.

Jane miała dziwną minę.

- Twój plecak jest jak torebka mojej mamy. Wszystko się tam mieści. Nosisz ze sobą także przybory do szycia? - zaciekawiała się.

Rzeczywiście miał je przy sobie. Przyklęknął i sięgnął po stopę dziewczyny. - Hej!

- Siedź spokojnie.

Jane miała małą stópkę z palcami o perłoworóżowych paznokciach. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy je zobaczył. Co za sens było malować paznokcie, skoro i tak nie nosiła sandałków? Popatrzył na rozkrwawiony pęcherz na pięcie.

- Czemu nie powiedziałaś, że cię boli?

- Przecież nie mogliśmy się wcześniej zatrzymać, prawda?

- Muszę znać twoje możliwości, by zaplanować dalszą trasę - rzekł, zakładając opatrunek, który wraz z suchymi skarpetkami powinien przynieść dziewczynie ulgę, choć do końca nie usuwał bólu. John zamyślił się i bezwiednie przesunął kciukiem po spodzie stopy Jane. Drgnęła gwałtownie.

- Masz łaskotki?

- N...nie. - Spojrzała na niego zmieszana. - To znaczy, tak - przyznała.

Zwrócił uwagę na pociemniały błękit jej oczu i nieokreślone pragnienie w głosie. Zacisnął dłoń na małej stopie, czując napięcie w swoim ciele. Oboje przemknął dreszcz. John oderwał wzrok od nóg Jane. Jej sukienka ciągle była mokra i ciasno oblepiała piersi, lecz sutki nie rysowały się teraz tak wyraźnie. Ale gdyby dotknąć ich ustami...

Nie teraz, pomyślał. Ciężko mu było poprzestać tylko na opatrzeniu stopy bez dotykania tych części ciała, które najbardziej go kusiły. Kiedy skończył, jeszcze raz przesunął kciukiem pod stopą dziewczyny, chcąc popatrzeć, jak przenika ją dreszcz. Był zły, że Jane tak szybko reaguje na jego dotknięcia. Nie mógł jej posiąść teraz, bo byłoby to zbyt niebezpieczne. Ale później, kto wie...

Jane obserwowała przebłyski słońca, gdy tylko rzedła nieco gęstwina lasu. Zapadał zmierzch, ale po lewej stronie ciągle jeszcze widziała światło. John niezmordowanie parł do przodu, a ona starała się za nim nadążyć. Po drodze z przyjemnością obserwowała jego ruchy i kształt muskularnego, zwinnego ciała. Czuła, że podnieca ją ten widok, choćby nie wiem jak wmawiała sobie, iż to nieodpowiedni dla niej partner. Nie mogła zrozumieć reakcji swojego organizmu. W końcu była przecież zagubiona, zmęczona, brudna i obolała, więc skąd te odczucia? Przez dwadzieścia dziewięć lat życia zachowywała się odpowiedzialnie, a teraz niepokoiły ją własne pragnienia.

Wydawało się, że zaczęła dzień w Kansas, a skończyła w Krainie Oz. Tylko że miała inne towarzystwo niż Dorotka. Obok znajdował się nieznajomy o zimnym spojrzeniu, który doprowadzał kobiece ciało do stanu wrzenia.

Odkąd zauważyła, w jaki sposób John patrzył na jej piersi, starała się trzymać od niego w pewnej odległości i nie zadawać żadnych pytań, choć same cisnęły się na usta. Tylko nierozsądne ciało nie chciało słuchać nakazów rozumu.

Kiedy zaczęli się wspinać na kolejne wzgórze, pomyślała, iż ten nagły atak pożądania to część kary za jej głupotę. Taka wakacyjna, romantyczna przygoda pasująca do jej drugiego imienia, Desiree, które znaczeniem nawiązywało do erotycznych pragnień i którego nie lubiła, choć nadał je ojciec, jakby chciał sprawdzić, czy córka dorośnie kiedyś do

zawartych w nim znaczeń. Ktoś o takim imieniu powinien dawać sobie radę w ryzykownych sytuacjach, ona tymczasem zupełnie tego nie potrafiła. Co ja robię w tropikalnej dżungli z jakimś szpiegiem czy kryminalistą, pomyślała, zapominając przez chwilę o bólu w otartej stopie.

- Daleko jeszcze do tej wioski? - spytała.

- Trudno powiedzieć, skoro nie posuwamy się po prostej. Jane już chciała zapytać, dlaczego tego nie robią, lecz

zostawiła to pytanie, jak wiele innych, na lepsze czasy. A co będzie, jeśli takie nie nadejdą, pomyślała z lękiem i przystanąła, by złapać oddech.

Przygryzła wargę, John tymczasem, nie okazując żadnego zmęczenia, zbiegał ze wzgórza. Nie było innego wyjścia, jak tylko pójść w jego ślady.

- A dlaczego nie posuwamy się po prostej? Czemu nie trzymaliśmy się ścieżki?

- Bo prowadziła w złym kierunku.

Jane nie komentowała odpowiedzi, tylko posłusznie ruszyła za swoim przewodnikiem, ciągle wpatrując się w jego wąskie biodra. John poruszał się z niebezpieczną gracją. Jane zaczęła się zastanawiać, co w ogóle o nim wie. Znał generała Ruiza. Poradził sobie z dwoma żołnierzami, obezwładniając ich, by uratować jej życie. Unikał dróg, a nawet wydeptanych ścieżek. Wiedział o istnieniu jakiejś wioski, którą, nie wiadomo dlaczego, uważał za jedyne bezpieczne miejsce do schronienia.

- Dlaczego tylko tam będziemy bezpieczni? - zapytała. - Czemu nie idziemy na zachód?

- Generał Ruiz rozłożył swój obóz kilka kilometrów na zachód od wioski, w której zatrzymał się nasz autobus - wyjaśnił jej przewodnik, nawet się nie obejrzawszy. - Wątpię, czy ten autobus rzeczywiście potrzebował naprawy. Prawdopodobnie przekupiono szofera, by dostarczył

Amerykanów, gdzie trzeba. Ruiz już wcześniej tak samo postępował z innymi cudzoziemcami, którzy znaleźli się w okolicach kontrolowanego przez niego terytorium. Interesuje go okup.

- Ale ja nie mam pieniędzy!

- Jeśli nie dostanie pieniędzy od twojej rodziny, będzie próbował otrzymać je od rządu, który nie może sobie pozwolić na to, by ktoś sprawiał mu kłopoty. W przeciwnym razie statki przestaną zawijać na wyspę, bo nie zechcą tracić turystów porwanyh przez Ruiza dla zysku.

Dotarli do wąwozu, w którym cienka struga udawała strumyk. Jane przez cały czas zastanawiała się, kim jest John, skoro ma wiadomości godne szpiega. Zadrżała na myśl, iż mógłby okazać się handlarzem narkotyków lub broni, człowiekiem bez sumienia i skrupułów. Ale czy ktoś taki uratowałby jej życie?

- Powiedziałeś, że jak masz na imię? - upewniła się.

- John.

- Niezbyt oryginalnie. Może John Doe?

- Powiniennem pamiętać, że naiwność to nie to samo co głupota - odparł, oglądając się przez ramię. - Powiedzmy, że nazywam się Smith.

- Co za zbieg okoliczności. Ja też noszę nazwisko Smith!
- zawołała.

- A jakże! Słuchaj, nie powinnaś dociekać, jak się nazywam. Po prostu rób, co mówię, i o nic nie pytaj.

- Nie widzę problemu w udzielaniu odpowiedzi. Przecież i tak możesz kłamać.

- Im mniej wiesz, tym lepiej. Niektórzy ludzie nie pozwoliliby ci opuścić tego kraju, gdyby wiedzieli, że mnie znasz. Posłuchaj. Oto twoja historia. Usłyszałaś strzały, przestraszyłaś się i uciekłaś. Zgubiłaś się i szłaś przed siebie, bo nie wiedziałaś, co robić. Nie masz pojęcia, w jaki sposób

znalazłaś się obok wioski, w której dobrzy ludzie ofiarowali ci pomoc i odwieźli cię do stolicy. Po tym jak autobus zatrzymał się dla naprawy, nigdy więcej mnie nie widziałaś.

- Czy jesteś szpiegiem?

John przez chwilę miał zakłopotaną minę, lecz w końcu uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście. Jestem szpiegiem jak James Bond i jemu podobni.

Jane uznała, iż tego mężczyzny nic nie łączy z Bondem, ale uratował jej życie, więc chyba miał sumienie.

- Jeśli się mnie boisz, to czemu ze mną zostałaś? - spytał, ogarniając ją tak płomiennym wzrokiem, że w obronnym geście skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Jane... - zaczął, podchodząc bliżej, a ona cofnęła się gwałtownie.

- Po prostu chciałem się dowiedzieć, jak brzmi twoje nazwisko - zapewnił ją, rozbawiony.

- Smith - wymamrotała zakłopotana.

- Cieszę się, że wykazujesz poczucie humoru, ale muszę poznać twoje prawdziwe nazwisko.

- No cóż, Johnie Smith, nie zawsze otrzymujemy to, na czym nam zależy, prawda? Lecz tym razem dostałeś to, czego chciałeś. Rzeczywiście nazywam się Smith. Jane Smith z Atherton w Kansas.

- Rodzice nazwali cię Jane Smith? - Uśmiechnął się, a gdy się tak uśmiechał, stawał się innym człowiekiem.

- To moje przekleństwo - powiedziała cicho, porażona siłą swoich pragnień wywołanych widokiem kolejnego wcielenia Johna. - Zawsze muszę pokazywać dowód tożsamości, bo ludzie mi nie wierzą.

- W każdym razie cieszę się, że cię poznałem, Jane Smith z Atherton w Kansas - rzekł, wyciągając rękę, a Jane z wahaniem podała mu swoją.

- A ja jestem zachwycona spotkaniem z tobą, Johnie Smith, skądkolwiek jesteś.

- Może z Krainy Oz? - odpowiedział, a Jane się roześmiała, słysząc w tym pytaniu echo własnych myśli.

- Ach, Jane... - mruknął, przykrywając jej dłoń drugą ręką. - Teraz już nie jesteś w Kansas, prawda?

Poczuła się niezręcznie, mając palce uwięzione w męskiej dłoni. Serce zabiło jej szybciej.

- Tak, to nie Kansas - przyznała.

Przez chwilę stali w milczeniu, a John, jakby mimowiednie, bawił się ręką Jane, co wywoływało w niej dreszcze, bo nie spuszczał przy tym wzroku z jej twarzy. Nigdy wcześniej nie doznawała tak silnych erotycznych wrażeń. Rozchyliła usta, zdając sobie sprawę, iż ten człowiek jej pragnie. Jakie to niesprawiedliwe, pomyślała. Faceci rzadko ją zauważali, a już zupełnie nie spodziewała się, iż zwróci na nią uwagę taki mężczyzna jak ten.

Uśmiechnął się, jakby wiedział, o czym myślała, i zamierzał to wykorzystać. Po chwili jednak odwrócił wzrok od twarzy Jane i wyglądał teraz jak kot szykujący się do skoku.

- Co się stało? - szepnęła.

Wypuścił jej dłoń i położył palec na ustach, nakazując milczenie. Przez moment stali bez ruchu, a Jane wyteżyła słuch, by w szumie strumyka wychwycić echo głosów kilku ludzi, którzy zdawali się zbliżać.

ROZDZIAŁ TRZECI

W sposobie, w jaki John ujął ją za rękę, nie było nic uwodzicielskiego, a jednak serce Jane gwałtownie zareagowało. John zdecydowanie pociągnął ją ku zboczowi wąwozu. Gdy się zatrzymali, zauważyła, że stoją na ścieżce, a więc nie zeszli ze szlaku. Skryli się w zaroślach wśród wysokich traw. Głosy zbliżały się coraz bardziej. John położył się płasko na ziemi, nakazując to samo zrobić Jane. Teraz wiedziała, dlaczego wybrał owo miejsce. Gęsty cień drzew doskonale maskował kryjówkę. Nie dekonspirując się, mogli stąd obserwować otoczenie, byle tylko się nie poruszali. Jane wiedziała, że potrafi wytrzymać bez ruchu, bo przećwiczyła to, kryjąc się w jeziorze. Teraz leżała na suchej trawie, mając obok siebie wspaniałego mężczyznę, i to wyprowadzało ją z równowagi bardziej niż robak, który wtedy łąził jej po ramieniu.

Spojrzała w dół i zastygła z przerażenia. W polu widzenia pojawili się dwaj ludzie. Po chwili odczuła ulgę, bo zauważyła, że mają na sobie mundury policji federalnej. Pomyślała, że mogłaby poczuć się z nimi bezpiecznie, odwróciła więc głowę do Johna, a on szybko położył jej rękę na ustach, zmuszając do milczenia.

- Cśś... Najpierw pomyśl, nim coś zrobisz. Taki zagubiony patrol nie wydaje się bezpieczną eskortą dla samotnej kobiety - szepnął, wolno odejmując rękę od jej ust.

W dole pojawiło się jeszcze trzech mężczyzn w mundurach. Wszyscy razem nie budzili zaufania. Byli brudni i nie ogoleni, ale pod bronią. Jeden z nich coś powiedział. Wydawało się, że czegoś lub kogoś szukają. Żaden jednak nie wspinał się ku ich kryjówce.

John leżał tak blisko Jane, że czuła jego zapach.

- Kogo szukają? - spytała cicho.

Uśmiechnął się, lecz jego spojrzenie pozostało zimne.

- Mnie - szepnął, zbliżywszy usta do jej ucha. - Jeśli jesteś zmęczona moim towarzystwem, wystarczy, byś zwróciła ich uwagę.

A więc szukają go władze? Jane lekko drgnęła. Nie mogła uwierzyć, by ten człowiek był kryminalistą. Niechcący strąciła w dół kamyk. Przez chwilę wydawało się, że nikt go nie zauważył, lecz zaraz potem jeden z policjantów wskazał ręką w ich kierunku. Pozostali zaczęli się z nim kłócić. Jane czuła, że leżący obok mężczyzna zeszywniał. Odwróciła głowę. John nie patrzył ani na nią, ani na policjantów, lecz na swoją rękę, po której prześlizgiwał się wąż. Był niezbyt długi, zielony z białymi cętkami na skórze. Wyglądał jak kawałek zielonej, grubej liny. Jane próbowała sobie wmówić, że nie jest jadowity, ale ze strachu przestała myśleć.

Wąż uniósł płaski łeb i w odległości kilku centymetrów od twarzy Johna wysunął cienki języczek.

Jane leżała jak sparaliżowana. Wstrzymała oddech, bo za najmniejszy ruch John mógł zapłacić życiem. Rozpaczliwie powtarzała w myślach, iż on pewnie nie wie, że większość węży nie należy do jadowitych.

Gad opuścił łeb i ruszył do przodu przez rękę Johna. Jane mało nie zemdląła. Zacisnęła pięści i starała się przekonać węża, że jest rośliną. Języczek gada musnął jej skórę. Wstrzymała oddech, lecz się nie poruszyła. Wąż przesunął się i zniknął w zaroślach. Ból w piersiach przypominał Jane, że teraz może oddychać. Zastanowiła się, czy wąż ześliźnie się w dół wąwozu i ukąsi któregoś z policjantów.

Poczuła dotknięcie Johna. Tym razem jej nie przestraszył. Odwróciła się. Skinął głową, lecz nie zrozumiała tego gestu. Pokazał jej wzrokiem, że podczas gdy oni zajmowali się wężem, policjanci przemierzili wąwóz i znikli im z oczu. Oboje poczołgali się do tyłu i wreszcie podnieśli się z ziemi.

Gdy Jane stanęła na nogi, John ujął ją znowu za rękę i zbiegli ze zbocza.

Wokół otaczał ich las. John zwolnił i zatrzymał się na małej, słonecznej polance. Przez lukę w gałęziach drzew widać stąd było skrawek niebieskiego nieba.

- Nie jestem zmęczona - oświadczyła Jane, chwytając oddech. - Mogę iść dalej.

- Ejże! - John odwrócił ją ku sobie. - Wszystko w porządku. Teraz jesteśmy od nich wystarczająco daleko. - Ujął jej drugą rękę i uśmiechnął się.

- Ja... ja... - wyjąkała - nie znoszę węży, naprawdę! Najpierw chciał ugryźć ciebie, a potem mnie, ale ja... ja... - Trudności ze złapaniem oddechu wywołały w niej czkawkę.

- Wiem - powiedział i otoczył ją ramionami. - Nienawidzisz węży.

Jane przytuliła się do niego. Ogarnęło ją ciepło i poczucie bezpieczeństwa.

- Nie wyśmiewasz się ze mnie, prawda? Jeśliby tak było, zabiłabym cię, a to z pewnością nie przyniosłoby mi żadnej korzyści.

- Nie wyśmiewam się z ciebie - zapewnił, pochylając głowę. - Świetnie się zachowałeś. Odwracając głowę, sprawiłeś, że zauważyłem tego gada. Uratowałeś mi życie.

- Był jadowity? Pomyślałam, że może ty również boisz się węży.

- Sądzę, iż reprezentował rzadki, lecz groźny gatunek. Nigdy wcześniej nie widziałem go w naturze, więc mogę się mylić. Występuje w Ameryce Środkowej i Południowej.

Jane odsunęła się nieco i spojrzała nań podejrzliwie.

- Dużo wiesz o węzach. Jesteś herpetologiem?

- Myślałem, iż już ustaliliśmy, że jestem szpiegiem - odparł z powagą, choć w oczach płonęły mu figlarne ogniki.

- Żartujesz ze mnie.

- Wydawałaś się taka zdziwiona - rzekł z uśmiechem.

- No cóż, rozumiem, że można zostać szpiegiem, ale spędzić życie na studiowaniu węży...

John zachichotał, a po chwili Jane zawtórowała mu śmiechem.

- Naprawdę nie lubię węży - powtórzyła, śmiejąc się dalej i ciesząc, że uszła z życiem mimo spotkania z tak groźnym stworzeniem.

John przestał się śmiać, wzrok mu pociemniał i pocałunkiem przerwał śmiech Jane. Miała miękkie, ciepłe wargi. Ich dotyk uderzył mu do głowy jak wino. Wydała jakiś okrzyk protestu, lecz go zignorował, podobnie jak rękę, którą próbowała go odepchnąć. Chwycił ją za pośladki i przyciągnął do siebie.

Wszystko dzieje się za szybko, pomyślała. Najpierw przerażenie, potem śmiech, a teraz pocałunki. Całował ją mężczyzna, który od początku działał na nią jak afrodyzjak. Nie miała siły się opierać. Moc namiętności skruszyła posady jej dotychczasowego świata.

Osunęli się na ziemię. Poszycie leśne było miękkie, wilgotne, oszalałoby zapachem. Jane wtuliła twarz w szyję Johna. Nie rozpinął sukienki, tylko przesuwiał dłońmi po jej ciele, jakby chciał poczuć każdy jego fragment. Nie rozbierał jej, co dawało Jane złudne poczucie bezpieczeństwa.

Nie trwało ono długo. Pieszczoty Johna stawały się coraz bardziej natarczywe. Jane czuła, że płonie. Być może zapanowałyby nad pragnieniami, które narastały w niej przez cały dzień, lecz nie mogła oprzeć się żądom tego mężczyzny. On także płonął.

Kiedy zsunął jej majtki i ułożył się między nogami, pomogła mu. Wniknął w nią głęboko. Uczucie rozkoszy było tak silne, że niemal natychmiast przeżyła orgazm.

Zamknęła oczy i wsunęła dłonie pod materiał jego koszuli.

- John - szepnęła. - John...

Nie drgnął nawet, co ją nieco zaskoczyło. Uniosła powieki i spojrzała w jego niebieskie oczy.

- Nie nazywam się John - powiedział miękko, a potem zaczął się poruszać.

Leżąca pod nim kobieta była taka delikatna i ciepła. Resztką świadomości, po przeżyciu ekstazy, wsparł się na łokciach, by jej nie przygnieść. W przeciwieństwie do niej był kompletnie ubrany, choć czuł się nagi i schwytany w pułapkę. Ogarnął go lęk, bo zrozumiał, jak nierozsądnie się zachował. W jego profesji za chwilę zapomnienia można było zapłacić życiem.

Spojrzał na Jane. Miała zamknięte oczy i lekko się uśmiechała. Na twarzy i ramionach połyskiwały jej kropelki potu. Wisiorek, który nosiła na szyi, leżał obok.

- Wstań - polecił, podnosząc się i zapinając spodnie. Zaskoczona Jane zamrugowała powiekami. Po wyrazie jej twarzy widać było, że czuje się dotknięta. John bezskutecznie starał się złagodzić ton głosu. Delikatnie dotknął jej policzka.

- Wybacz. Naraziłem nas na niebezpieczeństwo. Musimy zabierać się stąd szybko.

Jane usiadła i rozejrzała się dokoła.

- Przecież tu nikogo nie ma - zauważyła. - Czemu mówisz o niebezpieczeństwie?

Nie rozumiała, o co mu chodzi. Czyżby aż tak się zapomniał, pragnąc ją posiąść, że całkiem stracił kontrolę nad sytuacją?

Roześmiała się, a John zacisnął usta.

- Policjanci, których widzieliśmy, szukają mnie nie po to, by uwięzić, lecz by zastrzelić - rzekł.

- Ale dlaczego?

Zawahał się przez moment, nie wiedząc, czy udzielić jej wyjaśnień, lecz w końcu zdecydował się to zrobić.

- Wiem coś o ludziach, którzy nie zamierzają opuścić tego kraju i mają wystarczająco dużo pieniędzy, by przekupić władze. Jeśli będziesz ze mną, gdy mnie złapią, ciebie też zabiją. Muszę doprowadzić cię do wioski, a potem zniknąć z wyspy.

Nie zamierzał ginąć podczas wypełniania ostatniej misji i nie chciał narażać Jane na śmierć.

Przygryzła wargę. Oczy miała okrągłe z przerażenia. Powoli podniosła się z ziemi.

- Kim ty jesteś? - wyszeptała. - Co robisz?

- To nie ma znaczenia - odparł ze smutkiem. - Możesz zapomnieć o mnie jako o Johnie, czy też mężczyźnie o dowolnym imieniu.

- Ale ja nie chcę...

- Musisz.

Trzy godziny później Jane siedziała w jednym z domostw wioski, o której istnieniu nigdy nie słyszała. Jej gospodarzem okazał się Brytyjczyk, mieszkający tu od lat w całkiem przyzwoitych warunkach. Teraz ten człowiek odbywał rozmowę z mężczyzną, który wcale nie nazywał się John. Wiedziała, że ów mężczyzna chce ją zostawić w tej wiosce. Sam nie mógł zostać, by nie schwytali go żołnierze. Zdawała sobie sprawę, że już nigdy go nie zobaczy, i czekała, by przyszedł się pożegnać. On jednak się nie pojawił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie było jeszcze ciemno, lecz powoli zapadał zmierzch. W starym domu przy ulicy wysadzanej wiązami paliło się światło na piętrze. Większość ludzi w mieście nazywała to miejsce domem MacAllisterów, choć prawie wszyscy członkowie owej rodziny wymarli lub się stąd wyprowadzili. Ostatnia z MacAllisterów, Frances Ann, mieszkała na parterze wraz ze swoimi kotami i albumami rodzinnymi.

Jane, która zajmowała piętro, włączyła światło w kuchni i zajrzała do spiżarki. Wyjęła ryż, dwa opakowania płatków śniadaniowych i zamruczała coś pod nosem. Za kwadrans powinna być na spotkaniu Athertońskiego Towarzystwa Dobroczynności. Jako sekretarz do spraw organizacyjno - finansowych była zobowiązana uczestniczyć w zebraniu, ale nie mogła wyjść z domu bez krakersów. Mdłości mogły wrócić, gdy usiądzie za kierownicą.

W końcu natrafiła na celofanowe opakowanie. Zrzuciła torebkę na ramię i wychodząc, zapaliła światło na ganku. Gdy wróci do domu, będzie już ciemno.

Zatrzymała się przy frontowych drzwiach, bo zadzwonił telefon.

Zamarła, a jej ręka powędrowała ku piersi. Z trudem wyczuła mały wisiołek pod ulubionym różowym sweterkiem. Nie bądź głupia, skarciła się w myślach. To pewnie matka. Opiekuńczość Marilee Smith niepomiernie wzrosła, odkąd Jane wróciła z dalekiej podróży.

Oczywiście powinna zawrócić i uspokoić matkę, ale... Telefon zadzwonił ponownie. A jeśli to on? Wiedziała, że to niemożliwe. Miał trzy tygodnie, żeby się odezwać, ale tego nie zrobił. Czy musiał? To, co zaszło między nimi, mogło nie mieć dla niego żadnego znaczenia. Nawet się nie pożegnał. Nie wiadomo, czy w ogóle żyje. Ktokolwiek teraz dzwonił, z pewnością nie był to jej przypadkowy kochanek. Spotkanie z

nim zmieniło całe jej życie. Postanowiła już dzisiaj nie płakać z tego powodu.

Przez pierwszy tydzień po powrocie do domu łzy napływały jej do oczu w nieoczekiwanych momentach, co bardzo niepokoiło matkę. A przecież nie miała powodu do płaczu. Nie musiała też godzinami leżeć nocą, patrząc w sufit, podczas gdy myśli przebiegały jej przez głowę jak oszalałe. Nie wiedziała, czy jej tajemniczy obrońca z wyspy wyszedł cało z opresji, więc bezsenne noce spędzane na zastanawianiu się nad tym wydawały się pozbawione sensu.

Tym razem jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że telefon może mieć związek z tamtym mężczyzną. Co będzie, jeśli to on dzwoni?

Dzwonek telefonu rozległ się jeszcze raz.

Tato, pomyślała, czy podejmując ryzykowne działania, zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że skórka czasem nie jest warta wyprawki? A może zachowuję się jak tchórz? Pewnie jestem tchórzem, uznała. Wystarczy wspomnieć, jak zachowałam się, kiedy groziło mi niebezpieczeństwo. A co zrobiłam potem? Bezmyślnie, bez żadnych zabezpieczeń, kochałam się z człowiekiem, o którym niczego nie wiedziałam.

Jane wolno zamknęła drzwi. To nie był pierwszy telefon, na który nie zareagowała, odkąd wróciła do domu. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy przystanąła na moment, spoglądając na swoją nie najnowszą toyotę. W duchu obiecała sobie, że jutro kupi automatyczną sekretarkę, która będzie rejestrować numery telefonu rozmówców. Nie chciała już więcej bać się dźwięku dzwonka.

Wyjęła krakersa z opakowania i skubała go, wsiadając do auta.

Samuel Charmaneaux zjechał ze wzgórza na płaski teren. Siedział w trzyletnim, czarnym dżipie, którego kupił w

zeszłym tygodniu. Nazwisko w dowodzie rejestracyjnym samochodu odpowiadało zapisowi w prawie jazdy, akcie urodzenia i innych dokumentach, które zwykli posiadać ludzie w dzisiejszych czasach.

Włączył radio i otworzył okno, pragnąc usłyszeć szum wiatru. Od miesięcy planował taką wyprawę. Oczywiście nie mógł przewidzieć wszystkich jej szczegółów. Przede wszystkim nie zamierzał wcześniej przejeżdżać ponad tysiąca pięciuset kilometrów przez cały kraj, lecz jego projekty zawsze odznaczały się elastycznością. Najważniejsze, że zwykł osiągać główne cele.

Było dobrze, ale nie doskonale. Oczy mu pociemniały, kiedy przypomniał sobie Jacka zachłystującego się przy oddychaniu własną krwią. Z tą myślą nie czuł się najlepiej. Nie obwinał się całkowicie o śmierć przyjaciela, lecz czuł brzemień odpowiedzialności za to, iż uczestniczył w akcji, która do tej śmierci doprowadziła. Ta świadomość sprawiła, że postanowił porzucić środowisko, w którym obracał się przez ostatnich dziesięć lat.

Początkowo nie wiedział, czym mógłby się zająć. Teraz też nie był pewien, choć gdzieś w podświadomości tkwiło pragnienie, by zostać częścią świata zwykłych ludzi.

Zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. Dane personalne kształtujące jego nową tożsamość przygotowano ze szczególną starannością, lecz on sam nie był sobie tak pewien, jak głosiły to dokumenty. Przywykł do egzystencji pod różnymi nazwiskami, do życiorysów sklejanym z kawałków cudzych losów, ale tym razem było inaczej, bo obecne wcielenie zapowiadało się na całe życie, a nie tylko na kolejną akcję. Trzeba było przyzwyczać się do myśli, że istnieje przyszłość.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy zbliżył się do miasteczka Atherton. Nie spodziewał się wzgórz w tutejszym

krajobrazie, a jednak były, choć niezbyt wysokie. To go trochę wytrąciło z równowagi, bo nie lubił, gdy coś nie zgadzało się z jego przewidywaniami. Był sumiennym człowiekiem. Nim się tu wybrał, dokładnie sprawdził wszystkie dane o mieście i kobiecie. Wydawało mu się, iż Kansas winno być płaskie, a nie pagórkowate i z mnóstwem strumieni.

Pokręcił głową. To była długa podróż. Lewa dłoń, choć niby wyleczona, znowu zaczęła mu dokuczać. Oparł ją na udzie i zaczął gimnastykować, rozwierając i zaciskając palce. Bolało jeszcze bardziej, lecz można było wytrzymać. Gorzej, że palce ciągle nie zginały się jak należy.

Uświadomił sobie, iż zabieg chirurgiczny przeprowadzono mniej niż dwa tygodnie temu. Wierzył, że jeszcze odzyska pełnię władzy w ręce.

Na zachodzie zagrzmiało. Był początek kwietnia, więc w tej części kraju przechodziły wiosenne burze. Rzucił okiem na miasteczko rozciągające się u stóp wzgórza i zaczął snuć plany na przyszłość.

Tam w dolinie mieszka Jane Smith, Jane Desiree Smith, powtórzył w myślach z uśmiechem, bo przypomniał sobie zawartość raportu, który czytał. Pasowało do niej to drugie imię. Na zewnątrz prezentowała się całkiem zwyczajnie, lecz jej wewnątrz kryło niespodzianki. Pomyślał o jej niewinnym wzroku i cudownym ciele, o tym, jak bała się węży i ratowała życie robakowi, jak bez narzekań szła za nim z rozkrwawioną stopą.

Ciekawe, co teraz porabia? Czy mieszka z rodziną? Czy myślała dziś o nim? Uznał, że wkrótce powinna zacząć o nim myśleć, a on winien otrzymać odpowiedź na pytanie, od którego zależeć będzie przyszłość.

Poczuł przejmujący ból, spojrzał na ręce i zauważył, że aż zbieleły mu palce, bo tak mocno zaciskał palce na kierownicy. Ból lewej dłoni okazał się bardzo dokuczliwy, gdyż ręka

pozostawała w stanie skurczu. Nawet nie pamiętał, kiedy tak mocno chwycił za kierownicę. Powoli rozluźnił palce. Naprawdę czas iść na emeryturę, uznał w duchu, skoro do tego stopnia nie panuję nad emocjami. Z przyzwyczajenia rzucił okiem na mapę, by ocenić taktyczne położenie miasta, a potem dodał gazu, co już nie miało nic wspólnego z taktyką.

Nie umiał nazwać tego, co czuje, więc zignorował owo wrażenie wewnętrznego niepokoju, które towarzyszyło mu w podróży. Do tej pory nie znał takiego uczucia, bo nigdy nie wracał do domu.

- Jane!

- Hm? Och... - Zagadnięta zorientowała się, że myślami była przed chwilą gdzieś daleko, co ostatnio zdarzało się jej zbyt często. - Przepraszam, zamyśliłam się - powiedziała.

Rozejrzała się po sali i zauważyła, że jako jedyna została przy stole, gdy inni uczestnicy spotkania zabierali się już do wyjścia.

- Pytałaś o coś, Sandy?

Rudowłosa Sandy Clemmons kierowała miejscowym oddziałem Czerwonego Krzyża. Była spokojną kobietą, nieco starszą od Jane, a jej charakter przeczył stereotypowym opiniom o naturze rudzielców.

- Dobrze się czujesz? To nie moja sprawa, lecz widzę, że zupełnie inaczej się zachowujesz, odkąd wróciłaś z tej podróży.

- Nic mi nie jest - odparła Jane, biorąc torebkę i płaszcz.

- Pewnie często słyszysz takie uwagi.

- Masz na myśli moją matkę? - spytała Jane z bladym uśmiechem. - Proponowała już, bym się zastanowiła nad jakąś terapią i jadła więcej warzyw.

To było typowe dla Marilee Smith, która na wszystko miała dobrą radę.

- No cóż, naprawdę wiele przeszłaś.

Każdy mieszkaniec miasta wiedział, że Jane o mało nie została schwytana przez zbuntowanych żołnierzy. Ale mimo wielu prób, w których celowała jej własna matka, nikt nie dowiedział się niczego więcej.

- Tak, to było okropne, ale już się skończyło. - Jane włożyła płaszcz, przekonując się w myślach, iż mówi prawdę.
- O co mnie pytałaś, kiedy się zamyśliłam?

- Chciałam wiedzieć, czy wybierasz się do Kansas na szkolenie organizowane przez miejscowy Czerwony Krzyż przy udziale Federalnej Agencji Obrony Cywilnej. To ostatnia szansa, by je odbyć, więc nie zamierzam tracić takiej okazji. Może byś ze mną pojechała?

- Nie sędzę.

- Wiem, że zawsze interesowało cię niesienie pomocy poszkodowanym. Masz za sobą różne kursy pierwszej pomocy i reagowania w nagłych wypadkach.

- Mimo to ciągle robi mi się słabo na widok krwi. - Jane uśmiechnęła się bezradnie.

- Są inne sposoby pomagania ludziom, nie tylko bandażowanie rannych. To szkolenie przeznaczono dla organizatorów ochotniczej pomocy podczas klęsk żywiołowych.

Jane zdziwiła się, że ktokolwiek mógł uważać, iż jest zdolna do takiej pracy. Zanim zdążyła coś powiedzieć, ktoś zawołał ją po imieniu.

- Porozmawiamy później - rzekła Sandy, odchodząc. Nie było o czym rozmawiać, lecz Jane nie udało się już wypowiedzieć głośno tej myśli. Zresztą to bez znaczenia, uznała w duchu. I tak nikt mnie nie słucha.

Doszła do drzwi, lecz tu zatrzymał ją Bob Burgoman z żoną i zagadnął o stosunki Stanów Zjednoczonych z Ameryką Środkową, co miało stanowić mało subtelne preludium do pytań o jej przygody na San Tomas. Jane próbowała uciec,

lecz jej gesty wskazujące na chęć udania się do domu zostały zignorowane. Nie rozumiała, dlaczego każdy chce się wtrącać w jej życie.

Na szczęście nawinęła się Liza, niewysoka, okrągłutka i wiecznie uśmiechnięta kobieta. Uwolniła Jane od towarzystwa Burgomanów i wyprowadziła ją do holu.

- Ludzie uważają, że potrafię być gruboskórna, więc zapytam prosto z mostu: co chcesz osiągnąć, unikając mnie ostatnimi czasy? - zapytała.

- Jestem chora od ciągłych pytań - odrzekła Jane. - Nie znoszę być obiektem niezdrowego zainteresowania bliźnich.

- Jeśli nie chcesz, by się tobą interesowali, nie rób niczego, co by wzniecało ich ciekawość. - Liza powiedziała to bez odrobiny współczucia, lecz klepnięcie po ramieniu miało świadczyć o jej przyjaznym stosunku do Jane. - O twoich przejściach wiem tylko tyle co inni, a przecież jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Byłaś ścigana na bagnach...

- Nie na bagnach... - Jane spojrzała na pokryte chodnikiem schody, prowadzące do pokoju konferencyjnego, który mieścił się na pierwszym piętrze banku. Była to jedyna sala w mieście, gdzie mogło spotkać się kilkanaście osób.

Właśnie tutaj zebrali się przedstawiciele organizacji charytatywnych i sfery biznesu zaangażowani w różne działania na rzecz miejscowego społeczeństwa, które miały zakończyć się wielkim balem.

- Twoja mama wspominała coś o wodzie i robakach, więc pomyślałam o bagnach.

- Sądzę, że organizatorzy balu powinni dobrze przemyśleć system zbierania składek. - Jane bezowocnie próbowała zmienić temat rozmowy.

- A więc uciekałeś z tych bagien czy skądkolwiek do dżungli. Ścigali cię uzbrojeni żołnierze.

- Nic takiego nie zaszło - odparła z westchnieniem Jane. - Słyszę nutkę zazdrości w twoim głosie. Może chciałabyś być ścigana przez uzbrojonych mężczyzn?

- Nie wiem. To brzmi ekscytująco. Byłaś sama w dżungli...

- Nie sama... - zaprotestowała Jane i ugryzła się w język. - W towarzystwie małp, ptaków i węży.

A także lwów, tygrysów i niedźwiedzi, pomyślała, sięgając do torebki po krakersa.

- Wiesz, co mam na myśli - ciągnęła Liza, gdy zaczęły schodzić ze schodów. - Jest coś, co zdarzyło się na tej wyspie, a o czym mi nie powiedziałaś.

- Nie muszę ci opowiadać szczegółów.

- Zachowujesz się jak wtedy gdy rzucił cię Doug. Wszystko chcesz zachować w tajemnicy.

- Nie rzucił mnie, lecz oboje zdecydowaliśmy się skończyć nasz związek - zauważyła Jane, spoglądając ku drzwiom wyjściowym, bo naprawdę chciała już zostać sama.

Zwykle lubiła przebywać z ludźmi, ale ostatnio to się zmieniło, bo wszyscy pragnęli rozmawiać tylko o tym, co zdarzyło się lub mogło zdarzyć na wyspie. Jane westchnęła, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Mimo chłodnej pogody wielu członków zgromadzenia nie rozjechało się jeszcze do domów. Stali i rozmawiali w świetle latarni.

- Zachowujesz się tak samo, jak po śmierci ojca. Próbujesz schować się do skorupy niczym żółw. Nie myśl, że chcę ci zatruwać życie. Po prostu martwię się o ciebie.

- Daj spokój, Lizo, wszystko wyolbrzymiasz i zmieniasz proporcje. To nie ma nic wspólnego ze śmiercią taty.

Przecież nie wiem, czy mój wybawca zginął, pomyślała, otulając się płaszczem, bo było chłodniej, niż zazwyczaj o tej porze roku, a ona nie miała ochoty myśleć dla rozgrzewki o tropikalnym lesie.

- No więc może nikt nie umarł, lecz ty się zachowujesz, jakby tak się stało...

- Jane! - rozległ się głos Cece Leithmason, dawnej liderki dziewczęcej grupy sportowej z liceum. - Och, ty okropna istoto, czemu nic nam nie powiedziałaś? - zawołała, chwytając swoją ofiarę za rękę.

Zaskoczona Jane próbowała wyswobodzić się z uścisku.

- O czym? - zapytała.

- O nim! Pewnie chciałaś wszystkim zrobić niespodziankę, ale to brzydko z twojej strony. I tak się dowiedzieliśmy!

Jane nie mogła odetchnąć, choć próbowała wciągać powietrze w płuca.

- Nie wiem... o czym mówisz.

Z tłumu ludzi skupionych wokół latarni wystąpił mężczyzna. Miał na sobie drogi płaszcz i eleganckie, ciemne spodnie. Włosy ściągnięte do tyłu w kucyk odsłaniały pociągającą, obcą twarz. W świetle ulicznej lampy jego oczy nie miały tego błękitnego blasku, który wrył się w pamięć Jane. Były ciemne i tajemnicze.

A więc żyje. Wydostał się z wyspy i tu przyjechał. Na nosie ma te swoje głupie okulary w złotej oprawce. Jane nie wiedziała, czy ma krzyczeć, czy zemdleć. Kiedy podchodził uśmiechnięty, przestała słyszeć rozmowy zgromadzonych ludzi.

- Kochanie - odezwał się głosem, o którym marzyła po nocach i który co rano próbowała zapomnieć. - Wiem, że mnie nie oczekiwałaś. To niespodzianka, prawda? - spytał, wyciągając rękę.

Jane, oniemiała ze zdumienia, podała mu obie dłonie, a on je uścisnął.

- Twoi przyjaciele powitali mnie, gdy tu na ciebie czekałem. - Przyciągnął ją do siebie, aż tracąc równowagę, oparła się o jego pierś.

Przeszyła ją trudna do zniesienia rozkosz.

- Teraz ty powinnaś mnie przywitać - stwierdził, pochylając głowę.

Gdyby spróbował ją pocałować, chybaby go ugryzła. Chciała się bronić, lecz usta przybysza musnęły jej skroń, a nie wargi. Gorączkowo powtarzała sobie, że nic nie czuje podczas tego pocałunku, choć westchnęła tak, że człowiek, który przedstawił się jej w swoim czasie jako John, zareagował lekkim rozbawieniem.

- Opanuj się - szepnął tak cicho jak wówczas, gdy ukrywali się przed żołnierzami.

- Zostaw mnie w spokoju albo każę cię... aresztować - odszepnęła.

- Myślę, że raczej zabierzesz mnie do domu.

- Zwariowałaś! - zawołała, uwalniając dłonie z uścisku.

- Tak, na twoim punkcie.

Pomyślała, że to oczywiste kłamstwo, i opanowała się.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- Kiedy przyjechałem, zapytałem o ciebie i wskazano mi to miejsce. To przyjazne miasto, prawda?

- Nie... to znaczy... - Jane próbowała zmusić się do myślenia.

Wiedziała, jak ją znalazł. Przecież powiedziała, jak się nazywa i gdzie mieszka. Dlatego przez ostatnie trzy tygodnie bała się telefonów, ale nigdy nie sądziła, że on pojawi się tu we własnej osobie.

Ktoś dotknął jej ramienia. Oszołomiona obejrzała się i zobaczyła stojącą obok Lizę.

- Kto to jest? - spytała przyjaciółka.

Jane otworzyła usta i zaraz je zamknęła, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Przecież nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek.

- Samuel Charmaneaux - usłyszała, jak się przedstawił. - Mam nadzieję, że w przyszłości poznamy się lepiej, ale teraz, jak pani widzi, Jane mnie nie oczekiwała - ciągnął z uśmiechem, który był szczytem artyzmu, gdy obdarzał nim zgromadzonych gapiów. - Więc, jeśli pozwolicie, panie i panowie, najpierw się nią zajmę.

Powiedziawszy to, popchnął lekko Jane, a ona ruszyła bezwolnie do przodu. Po chwili przystanęła.

- Nie możesz tego zrobić - rzekła.

- Ależ kochanie. - Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy. - Jestem tu, bo musimy omówić wiele spraw. Nie możemy tego uczynić wśród ludzi, nie mogę też zaprosić cię do swego domu, więc ty zabierzesz mnie do siebie. Złóścisz się, że nie uprzedziłem cię o przyjeździe?

- Nie wiem, co tu robisz - odparła.

- Dowiesz się. - Pochylił głowę i musnął wargami jej usta, tak jak kiedyś, gdy mówił, że raczej nie zabije żołnierza, który jej zagrażał. - Nie używałem prezerwatywy - wypowiedział trzy magiczne słowa.

Miał czarnego dżipa. Ten samochód pasuje do niego, pomyślała Jane. Czerń to kolor tajemnicy, a dżip służy do pokonywania pustyń, gór i... tropikalnych lasów. Nie mogła pojąć, w jaki sposób Samuel zmusił ją, by zaczęła iść w stronę samochodu. Wystarczyło, że położył rękę na jej ramieniu, a już się zgodziła. Ciało wyraźnie nie słuchało poleceń rozumu.

- Niedaleko stoi moje auto - powiedziała, odsuwając się od Samuela. - Chcę jechać nim do domu. Pojadę za tobą tam, gdzie się zatrzymałeś, i porozmawiamy.

- Wszyscy oczekują, że odjedziemy razem. Wzbudzimy mniej sensacji, jeśli zaspokoimy te oczekiwania.

- Masz na myśli oczekiwania, które sam zaaranżowałeś.

- Im dłużej tu stoimy i się spieramy, tym większą ciekawość budzimy u twoich znajomych. Jak sądzisz, kiedy któryś z nich podejdzie, by sprawdzić, co się dzieje?

Jane naprawdę nie chciała widzieć tu tego człowieka, ale przyjechał, więc trzeba było się z tym pogodzić i zrobić wszystko, by uniknąć pytań ciekawskich znajomych, dopóki oboje nie uzgodnią jakiejś wersji zdarzeń. Nie miała pojęcia, co Samuel naopowiadał mieszkańcom Atherton, kiedy na nią czekał.

W milczeniu zajęła miejsce w dziuple. Gdy zatrzaskiwała drzwi, ogarnęło ją przerażenie. Czuła się jak mysz w klatce z pytonem. Jeszcze szczelniej owinęła się płaszczem, bo ogarnął ją wewnętrzny chłód.

Samuel obszedł samochód i otworzył drugie drzwi.

- Pojadę z tobą, ale najpierw musimy ustalić pewne sprawy.

- Świetnie - odrzekł z powagą, pod którą jednak kryło się rozbawienie, które zirytowało Jane.

Wsiadł, głośno trzaskając drzwiami.

- Zapnij pas - nakazał.

- Pojeździmy w kółko. Nie musimy nigdzie przystawać - zaproponowała.

Sądziła, że Samuel zatrzyma się w motelu, a nie miała ochoty zwiedzać tamtejszych pokoi.

- Myślę, że wynajmiesz coś w naszym motelu - powiedziała głośno.

- Mijałem go po drodze - odparł, włączając silnik i radio. Rozległy się rytmy bluesa. Być może za sprawą tej melodii serce Jane zaczęło bić jak szalone.

- Jeśli nie zarezerwowałeś miejsca w motelu, musisz to zrobić przed północą. Później recepcja jest nieczynna. To nie

zajmie dużo czasu. Po drodze możemy rozmawiać, a potem odwieziesz mnie tutaj.

Wszyscy znajomi już się rozjadą, pomyślała i wyobraziła sobie swoje bezpieczne mieszkanie, dokąd się uda na zakończenie tego męczącego dnia. Ta myśl przyniosła jej ulgę.

- Będę potrzebowała samochodu, żeby rano jechać do pracy.

Samuel westchnął i odwrócił się do Jane.

- To prawda, że pewne rzeczy łatwiej wypowiedzieć w ciemnościach. Ale to nie znaczy, że tak jest najlepiej. Sądzę, iż powinniśmy porozmawiać, patrząc sobie w oczy. Dlatego przyjechałem, zamiast dzwonić.

- Ale odwieziesz mnie tutaj, kiedy już porozmawiamy? - zapytała.

- Skoro tego chcesz. Mam jednak nadzieję, że zmienisz zdanie.

- Jeśli zamierzasz zostawić mnie w dowolnym miejscu...

- Nie po to przyjechałem.

- A po co?

- By się dowiedzieć, czy spodziewasz się mojego dziecka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie - odpowiedziała szybko.

Za szybko? Tego Samuel nie mógłby stwierdzić z całą pewnością. Jak zwykle, nie potrafił do końca przeniknąć tej kobiety. Przez lata budował w sobie wewnętrzną twardość i zdecydowanie, co nieraz pozwoliło mu wyjść cało z opresji, lecz od czasu śmierci Jacka bardzo się zmienił. Nic już nie było takie samo, więc nie mógł ufać własnym odczuciom, a odpowiedź na zadane pytanie była dla niego ważna.

Dżip miał automatyczną skrzynię biegów, więc Samuel mógł trzymać kierownicę w prawej dłoni, dzięki czemu jego boląca lewa dłoń odpoczywała. Przyhamował lekko, czekając na odpowiedź na następne pytanie.

- Jesteś pewna?

- Nie mogę być w ciąży - odparła, zaciskając dłonie. - Po prostu nie mogę.

- Chodzi ci o to, że nie chcesz mieć ze mną dziecka, ale nie jesteś pewna swego stanu - zauważył z pewną ulgą, zdjął nogę z hamulca i skręcił w spokojną uliczkę. - Gdybyś była pewna, nie pojechałabyś ze mną po tym, jak wspomniałem, że nie użyłem wtedy prezerwatywy.

Nie odpowiedziała, a on nie domagał się potwierdzenia. Miał teraz coś ważniejszego w głowie. Pojawiła się nadzieja, której nie znał od lat, a której bardzo potrzebował.

Jane z napięciem czekała na dalsze pytania. Przecież ten mężczyzna nie przejechał całej Ameryki, by poprzestać na jednej kwestii. Nie wiedziała, jak daleko się posunie. W ogóle niczego o nim nie wiedziała.

- Skąd jesteś? - spytała nagle.

- Urodziłem się w Chicago, ale nie mieszkam tam, odkąd skończyłem trzy lata - odpowiedział.

- Skąd teraz przyjechałeś?

- Przez ostatnich kilka lat nie miałem stałego miejsca pobytu.

- Musiałeś gdzieś mieszkać. Każdy ma jakiś dom.

- Ludzie mojej byłej profesji często go nie mają.

Co on ma na myśli, mówiąc o byłej profesji, zastanowiła się Jane i popatrzyła na niego. W półmroku wyglądał bardzo ponętnie. Światło latarni odbijało się w błyszczącej oprawce okularów, które przyczyniły się do tylu złudnych mniemań na temat tego człowieka. Sprawiał w nich wrażenie osoby należącej do świata, który Jane potrafiła zrozumieć.

Chociaż jego ręce... Jedną trzymał kierownicę, gdy druga spoczywała na udzie. Niepokoił ją ów widok. Za dobrze знаła dotyk tych dłoni i za bardzo chciała o nim zapomnieć. Tylko one nie zmieniały się u tego mężczyzny, niezależnie od tego, kogo udawał.

- Naprawdę nazywasz się Samuel Charmaneaux?

- Teraz tak - odpowiedział, patrząc na drogę.

Co za odpowiedź, pomyślała. Jak mam z nim postępować? Zapragnęła, by zniknął z jej życia. Już raz przecież odszedł bez słowa, co zraniło ją bardziej, niż mogła przypuszczać. Po co wrócił?

- Nie ma dużego ruchu na ulicy, a i restauracja na rogu wygląda na zamkniętą - zauważył.

- Jest po dziesiątej. Greenowie zamykają o tej porze - odpowiedziała, zaskoczona tą uwagą.

- Ulice Atherton pustoszeją o dziesiątej? - spytał z uśmiechem.

- Nie. Jest kilka lokali otwartych do późna i nocne kino. Rozumiem, że dla kogoś pochodzącego z Chicago to niewiele.

- Mówiłem ci, że wyjechałem stamtąd w dzieciństwie. Umiem się przystosowywać. - Zatrzymał się na czerwonym świetle i zafascynowany rozejrzał się dokoła.

- Co cię tak zainteresowało?

- Twoje miasto.

Nie wiedziała, o czym on mówi. Znajdowali się na skraju dzielnicy, w której mieszkańcy Atherton zwykle załatwiali interesy. Na jednym rogu widać było stację benzynową, na drugim drogerię i stary budynek, w którym przyjmował lekarz, a dalej mały kościół. Przed nimi rozciągała się najstarsza część miasta. Stały tu domy najszacowniejszych jego mieszkańców z werandami ocienionymi przez stuletnie drzewa

Tej nocy drzewa były ledwie widoczne w ciemnościach, a pozbawione jeszcze liści wyglądały jak szkielety.

- Domyślam się, że nie bywałeś w takich miejscach.

- To prawda.

Zmieniły się światła, więc minęli skrzyżowanie.

- Co to za dom? - spytał, wskazując na jednopiętrowy budynek po lewej, na którym widniał szyld nieczytelny w mroku.

- Nowa biblioteka, inaczej dom Frazerów, bo ta rodzina zbudowała go pięć lat temu - wyjaśniła, zastanawiając się, czy Samuel ma zamiar nadal prowadzić taką nic nie znaczącą rozmowę.

Skądinąd wiedziała, że cokolwiek ten człowiek robił, miało swój cel.

- Znasz tu wszystkich? - zapytał.

- Nie. Atherton nie jest aż tak małe. Ale urodziłam się tutaj, a teraz uczę w szkole, więc mam kontakt z wieloma osobami.

- Wiesz o wszystkim, co się tu dzieje?

- Prawie.

- To dobrze. Atherton wygląda na miłe miasto. Widziałem wiele sklepów. Ludzie robią zakupy na miejscu?

- Przeważnie tak. Czasem jeżdżą do centrów handlowych w Kansas City, ale... Czemu, u licha, cię to interesuje?

- To ważne dla rozwoju miasta, by mieszkańcy robili w nim zakupy - odpowiedział z powagą. - Dane statystyczne mówią, iż Atherton należy do miast o wysokim współczynniku przyrostu naturalnego, a to daje nadzieję na jego rozwój.

Jane była tak zaskoczona tematem rozmowy, iż nie zauważyła, dokąd jadą.

- Rozumiem, że nie zamierzasz się u nas osiedlić. Człowiek twojej profesji nie miałby tu nic do roboty.

- A więc już wiesz, czym się zajmuję? Sądziłem, iż miałaś pewne wątpliwości.

- Na pewno nie jesteś Jamesem Bondem. Roześmiał się tak jak wtedy, gdy stwierdziła, że mógłby

być herpetologiem. Jane wszystko pamiętała, ale tak bardzo starała się pozbyć tych wspomnień, iż nie spostrzegła nawet, kiedy dżip zwolnił. Wjechali na podjazd starego domu, w którym paliło się światło na ganku.

- To moje mieszkanie! - zawołała zaskoczona.

- Mówiłem, że pytałem o ciebie i twoja gospodyni okazała się bardzo pomocna - wyjaśnił, parkując w miejscu, w którym zawsze ona stawiała swój samochód.

- Frances Ann powiedziała ci, gdzie jestem? - spytała z niedowierzaniem.

Panna MacAllister, wszędzie węsząca niebezpieczeństwo, prędzej wezwałaby policję, niż zaufała nieznanemu.

- Wyznałem, że jestem twoim narzeczonym.

- Co takiego? Jak mogłeś?! Czy wiesz, na co mnie naraziłeś? O co mnie wszyscy będą pytać? Jaki to kłopot dla mnie?

- Jane! - Wziął ją za rękę, a ona poczuła falę gorąca.

- Nie chcę przysparzać ci kłopotów. Ale czy nie trudniej wyjaśnić ciążę, jeśli nie ma się narzeczonego?

- Ja... nie jestem... - zaczęła słabym głosem, niepewna własnych racji.

W końcu wszystko jest możliwe. Chciała wierzyć; że ostatnia miesiączka była tak skąpa z powodu stresu, ale jej szwagierka miała podobne objawy, gdy spodziewała się dziecka. Próbowwała o tym nie myśleć, bo musiałyby przyznać, że postąpiła głupio wtedy w dżungli. Należałoby też rozważyć konieczność opowiedzenia o wszystkim matce, przyznania, że nie zna nawet nazwiska ojca dziecka. Ale teraz ten człowiek był tutaj i kazał się nazywać Samuelem.

Odgarnęła włosy z twarzy. Mimo że od czasu do czasu odczuwała też mdłości, ciągle nie mogła uwierzyć w możliwość ciąży. To wszystko wina stresu, a może była na coś uczulona albo przywlokła z wyspy jakiegoś wirusa...

Samuel przesunął kciukiem po jej dłoni.

- Zrobię wszystko, by ułatwić ci sytuację - obiecał.

W tej chwili nawet zaproszenie tego człowieka do mieszkania wydało się jej lepsze niż siedzenie z nim tutaj w ciemności.

- Chodźmy na górę - zaproponowała, otwierając drzwi.

- Zrobię czekoladę.

Nie potrafiła wystarczająco szybko wejść po schodach, a potem drżącą ręką trafić w dziurkę od klucza. To śmieszne, lecz nie mogła również logicznie myśleć. W ogóle bała się myśleć. Otworzyła drzwi i zapaliła światło.

- Słuchaj, mam kilka pytań, na które muszę uzyskać odpowiedzi... O mój Boże! - zawołała na widok dwóch skórzanych waliz na środku pokoju. - Skąd się to wzięło?

- To moje. - Samuel położył dłonie na ramionach Jane, przesunął ją delikatnie, a potem zamknął drzwi.

- Jak się tu dostałeś? Frances Ann nie powinna była cię wpuszczać, niezależnie od tego, co jej powiedziałaś!

- Nie było trudno wzbudzić zaufanie twojej gospodyni.

- Nie miałeś klucza.

- To nie problem.

Oczywiście, co to dla niego! pomyślała.

- Możesz od razu zabrać bagaże do samochodu, bo tu nie zostaniesz - zdecydowała.

- Na pewno lepiej niż ja orientujesz się, co wypada, a czego nie wypada robić w Atherton, ale nawet w tak małym mieście odesłanie narzeczonego do motelu wzbudzi zapewne zdziwienie.

Jane wyobraziła sobie, jak zrzuca te walizki ze schodów, i poczuła satysfakcję. Pomyślała jednak, że przerażona hukem Frances Ann pewnie wezwałaby policję, a na dyskusję z szeryfem nie miała ochoty.

- Nie jesteś moim narzeczoną.

- Przedstawiłem się twoim znajomym jako narzeczonego. - Samuel podszedł do kanapy stojącej naprzeciw kominka i poprawił piękną, starą narzutę, którą Jane odziedziczyła po babci Ellis. - Podoba mi się twój salonik - oświadczył.

- Nie ma w nim niczego specjalnego - zauważyła.

W pokoju znajdowały się meble w różnych stylach, które jednak jakoś do siebie pasowały. Jane nie była zapaloną kolekcjonerką, ale lubiła rzeczy mające swoją historię, takie jak choćby mała lokomotywka stojąca na stoliku, którą w dzieciństwie bawił się jej ojciec, albo rodzinne fotografie w ramkach, którym teraz przyglądał się Samuel. Miała siedem lat, gdy sfotografowano ją z dwoma starszymi braćmi. Tego roku wszyscy razem spędzili wakacje w Galveston w Teksasie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła ocean, a trzy miesiące później jej rodzice się rozwiedli.

- Ten pokój do ciebie pasuje. Masz niezły gust - uznał Samuel.

- Dziękuję - odpowiedziała, obserwując, jak jej gość krąży po wnętrzu, by zatrzymać się przed oprawionym w ramy plakatem cyrkowym.

- Wielki Bandini - powiedział w zamyśleniu, przyglądając się wyblakłemu zdjęciu mężczyzny na linie. - Taki cyrkowy pseudonim nosił twój ojciec.

- Skąd wiesz? - zapytała, jak zwykle zaskoczona wszystkim, co Samuel zrobił lub powiedział.

- Sporo o tobie wiem - odparł z zagadkowym uśmiechem.
- Ten plakat zapowiada jeden z występów twojego ojca, prawda?

Jane skinęła głową, postanawiając, że później sprawdzi, skąd Samuel wziął wiadomości o jej ojcu, najpierw jednak musiała wyjaśnić inne sprawy.

- Dlaczego powiedziałeś wszystkim, że jesteśmy zaręczeni?

Samuel zatrzymał się przy telewizorze i magnetofonie.

- Bo to dobry powód, by tu przyjechać, a ja musiałem dokądś jechać. Masz tylko odtwarzacz? - zapytał.

- Czy to ci przeszkadza? Przestań zmieniać temat. Ktoś taki jak ty zna ze sto miejsc ciekawszych niż Atherton, do których może się udać. Chociaż... - Na moment ogarnęło ją przerażenie. - O Boże! Jeśli ściga cię policja albo...

- Nic z tych rzeczy. - Roześmiał się. - Jestem... na emeryturze.

Na jakiej emeryturze? pomyślała Jane, uznając, iż zbyt długo zwlekała z zadaniem najważniejszego pytania.

- Myślę, że nadszedł czas, byś mi wyjaśnił, co właściwie robiłeś na San Tomas.

- Tego nie mogę powiedzieć. Ale nie jestem kryminalistą, jeśli to cię niepokoi.

- Możesz dać mi słowo?

- Jestem w stanie przedstawić ci nawet pewne dowody, ale i tak nie potrafiłabyś ich zweryfikować. Niektóre fałszywki są tak doskonałe, że nawet eksperci mają z nimi trudności.

- Więc jaka jest twoja historia?

- Jeszcze trzy tygodnie temu pracowałem dla tajnej agencji rządowej.

- Jako szpieg?

- Możesz tak to nazwać.

- A teraz?

- Jestem bezrobotny - odparł z uśmiechem. - Czy napijemy się czekolady? - zapytał.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytała Jane, ignorując pytanie Samuela.

- Już powiedziałem.

- Nie sądzę, by była to cała prawda.

- Zapewne miałem więcej powodów, jak każdy człowiek.

- Ruszył ku Jane. - Sądziłem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, by mnie znowu zobaczyć. Ale się gniewasz, prawda? I jesteś zdenerwowana - dodał, zatrzymując się tuż przed nią. - Śliczna Jane, czy to takie okropne spotkać mnie jeszcze raz?

- Nie... ja po prostu... Ty... - Przestała mówić, bo nie chciała urazić jego uczuć, lecz po chwili uznała, że on nie był wobec niej delikatny, więc i ona nie będzie. - Masz rację. Jestem zła. Nawet nie pożegnałeś się ze mną wtedy na wyspie.

Zaskoczyła go tym stwierdzeniem.

- Jeśli ci powiem, że nie przyszło mi to do głowy, jeszcze gorzej wypadnę w twoich oczach, prawda? Wiesz, ludzie, których życie pozostaje w stałym zagrożeniu, rzadko mówią komuś „do widzenia”. Pozostawianie za sobą osób i miejsc jest dla nich normalne jak oddychanie.

- To okropne życie.

- Może nauczysz mnie innego - zaproponował.

Jane pomyślała, że nie należy do kobiet, które mogłyby nauczyć czegokolwiek takiego człowieka. Nabrała tchu.

- A jeśli chodzi o to, co zaszło między nami...

Nie wiedziała, kiedy Samuel znalazł się tak blisko, że musiała unieść głowę, by, mówiąc, patrzeć mu w oczy. - ' To już się nie powtórzy - dokończyła.

- Nie? Przypuszczam, że sądzisz, iż wykorzystałem sytuację.

- A nie było tak?

- Zaskoczyło mnie to tak samo jak ciebie.

Przez chwilę mu wierzyła. Miło było pomyśleć, że wywarła tak niezwykle wrażenie na atrakcyjnym mężczyźnie, ale gdy przemówił, złudzenie przysło.

- Nie musisz się obawiać. Po raz drugi nie stracę panowania nad sobą. Nie marszcz brwi, śliczna Jane. - Musnął ustami jej policzek. - Nie zrobię niczego, czego byś nie chciała. Mogę zostać u ciebie na noc?

- Co takiego?

- Oczywiście prześpię się na kanapie. Jest późno, mam za sobą długą podróż. Czuję się bardzo zmęczony.

- To nie jest dobry pomysł. Muszę rano wstać... Nie spodziewałam się towarzystwa. W domu nie ma nic na śniadanie, sofa jest niewygodna i...

- Wiem, że nie oczekiwałaś gości. Nie dbam o śniadanie ani wygodne łóżko. Nocowałem w znacznie trudniejszych warunkach.

Jane przez moment poczuła współczucie, lecz zaraz je w sobie zdusiła.

- Niczego nie wyjaśniliśmy. Nadal nic o tobie nie wiem, nie znam też powodów twojego przyjazdu.

- Odpowiedziałem na wszystkie pytania.

Widać nie zadawałam właściwych, pomyślała. Dlaczego nie zadzwonił, przemknęło jej przez głowę. Przeraziła ją myśl,

iż tak właśnie mogło brzmieć to najważniejsze pytanie, a nie powinno, bo przecież nie kochała tego człowieka.

- Dobrze, porozmawiamy jutro. Jeśli jeszcze będziesz w Atherton - dorzuciła.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Jedziesz do motelu.

- Chcesz się mnie pozbyć bez czekolady? To niesprawiedliwe.

Nie wyglądał na zmęczonego, miał w sobie jedynie jakieś napięcie.

- Słuchaj... - zaczął, ujmując ją za ramię.

We wzroku pojawiło się mu coś ledwie dostrzegalnego i opuścił rękę.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic - odparł, powoli prostując i zginając palce. Dopiero teraz mogła zobaczyć jego lewą rękę, na której widać było głęboką bliznę. Wiedziona impulsem, ujęła ją w obie dłonie.

- Mój Boże, co ci się stało?

- Byłem nieostrożny - odparł niedbałym tonem. - To się zdarzyło po naszym rozstaniu.

Jane bezwiednie pogładziła zdrową część dłoni Samuela.

- Wygląda, jakby coś ją przebiło.

- Nóż - wyjaśnił sucho.

- Ktoś cię zaatakował?

- Ryzyko zawodowe. Nic mi nie jest.

Jane spojrzała mu w oczy i wstrzymała oddech. Och, nie, pomyślała. Znowu mnie zauroczył. Nie potrafiła zapanować nad żarem przenikającym jej ciało.

- Możesz spać na sofie - zdecydowała. - Przyniosę poduszkę.

Samuel lubił brać prysznic. Strumienie gorącej wody spadające na twarz, ramiona i plecy sprawiały mu przyjemność. Pamiętał, kiedy to polubił. Miał wtedy

dwanaście lat i mieszkał u Betty i Stana Freedmanów. Betty wytłumaczyła mu, że czyści ludzie czują się znacznie lepiej.

Kiedy Stan zmarł na atak serca, pracownicy opieki społecznej zabrali go i dwoje innych dzieci pozostających w zastępczej rodzinie Freedmanów do innych domów. Żałował, że mieszkał z nimi tak krótko. Po raz pierwszy w życiu cierpiał wówczas z powodu rozstania i nigdy więcej to się nie powtórzyło. Dopóki nie zginął Jack.

Przez ostatnich kilka lat Samuel zdawał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedział, co. Po śmierci przyjaciela przytoczyło go poczucie winy i wzmógł się psychiczny dyskomfort. Wtedy zrozumiał, że musi odejść z agencji i odnaleźć się w normalnym życiu, którego posmakował u Freedmanów. Wiedział, że to wymaga czasu, ale potrafił być cierpliwy.

Stojąc pod prysznicem w domu Jane, czuł, że naprawdę żyje. Uśmiechnął się na myśl, że pozwoliła mu zostać. Z jakichś przyczyn wykorzystał zranioną rękę, by wzbudzić jej współczucie. Trzymał ten atut w zanadrzu do ostatniej chwili i użył go właściwie. Wiedział, że tak się stanie.

Nie spodziewał się jedynie, iż tak intensywnie przeżyje pieśczołliwy ruch palców Jane przesuwających się po jego zranionej dłoni. To było przyjemne. Dawno nikt tak go nie dotykał.

Spędził pod prysznicem sporo czasu. Był tutaj i zamierzał osiągnąć to, co zaplanował. Widział, jak Jane reaguje na jego bliskość, co się z nią dzieje. Być może na razie go nie akceptuje, ale był pewien, że zmieni zdanie.

Sam też jej pragnął. Początkowo sądził, że ich zbliżenie na San Tomas wynikało z okoliczności, lecz teraz wiedział, że było inaczej. W Atherton czuł do Jane to samo co na wyspie.

By opanować żądze, mógłby puścić zimną wodę. W duchu obiecał sobie, że tym razem będzie się kontrolował.

Jane wolała zimę niż lato, bo lubiła wtulać się w ciepłe koce. Mimo wiosny ciągle jeszcze było na tyle chłodno, że wciąż ich używała. Leżała teraz przykryta po szyję, lecz tej nocy łóżko wydawało się jej dziwnie nieprzytulne.

Słyszała szum wody pod prysznicem. Jej nieproszony gość zapytał, czy mógłby się wykapać, a ona, głupia, się zgodziła. Teraz leżała w swoim podwójnym łóżku, wpatrując się w ciemność i słuchając szumu wody. Czuła się samotna, przepełniały ją też inne, podsuwane przez pamięć uczucia. Jej niemądre ciało reagowało na samą myśl o tym człowieku pod prysznicem.

Uznała, że życie jest niesprawiedliwe, a jej uczucia pozbawione sensu. Nie mogła zaufać swojemu ciału, a nawet rozsądkowi. W myślach powtarzała bez przerwy te same pytania.

Samuel chciał wiedzieć, czy spodziewa się jego dziecka. Kim on jest? Czy teraz o niej myśli? Tak bardzo chciał tutaj zostać. Może nie zapomniał o niej, podobnie jak ona... Nie, pomyślała, ugniatając poduszkę, nie mogę puszczać wodzy fantazji. Jeśli ten mężczyzna spędzi dzisiaj bezsenną noc, to tylko z powodu bolącej ręki.

Biedna ręka. Gdyby jej nie zobaczyła, nie pozwoliłaby mu zostać. Ciekawe, że posłużył się nią w chwili, gdy już gotowa była go wyprosić. Czyżby zrobił to celowo, by wzbudzić jej współczucie? Nie, ta myśl nie wydawała się przyjemna. Podobnie jak przeświadczenie, że Samuel był szpiegiem. Czy można mu wierzyć?

Może. Jane przewróciła się na drugi bok i jeszcze raz ugniotła poduszkę. Te głupie okulary, pomyślała, przypominają, że ich właściciel potrafi zmieniać się jak kameleon. Nawet jeśli wierzyć, iż był szpiegiem, to i tak nie wyjaśnił do końca, po co tu przyjechał.

A może naprawdę jej pragnął. Może nie potrafił o niej zapomnieć. Może...

Rzuciła poduszkę na podłogę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Budzik nie zadzwonił. Kiedy Jane otworzyła oczy i spojrzała na zegarek, natychmiast wyskoczyła z łóżka. Nigdy się nie spóźniała. Zapomniawszy o wszystkim, otworzyła drzwi sypialni i stojąc w pidżamie, znalazła się naprzeciw Samuela.

- Dzień dobry - odezwał się.

W samych bokserkach wyglądał jak zwyczajny człowiek. Jane mogła podziwiać jego wspaniałe ciało i rozjaśnione uśmiechem błękitne oczy. Włosy jak zwykle miał związane w kucyk. Nawet wówczas, kiedy kryli się w dżungli przed żołnierzami, dbał o swoją fryzurę.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że zadomowiłem się w kuchni. Kawa jest już gotowa.

Na myśl o gorącej kawie Jane gotowa była mu wybaczyć, że od samego rana jest tak zadbany, gdy ona stoi z potarganymi włosami ubrana w mało elegancką piżamę.

- Później - odrzekła i pobiegła do łazienki.

Wczoraj wieczorem mogła zapomnieć o nastawieniu zegarka, ale pamiętała przynajmniej o zostawieniu w łazience ubrania. Akurat było tam wszystko, co najbardziej lubiła. Błękitny sweter i miękkie, pasujące do niego spodnie, których dotyk stanowił pieszczotę dla nóg. Nikt nie zamierza pieścić moich nóg, pomyślała, przytulając tkaninę do policzka. Ubrała się starannie dla samej siebie, a nie po to, by na kimkolwiek wyrzeć wrażenie. Pomalowała wargi, nabrała tchu i otworzywszy drzwi łazienki, usłyszała czyjeś głosy.

Jeden z nich należał do Samuela. Na dźwięk drugiego jęknęła głucho, uznając w duchu, iż poranki bywają koszmarne. Jej matka postanowiła ją odwiedzić.

Samuel był zadowolony, że kiedy pani Smith zapukała, Jane brała prysznic. Dawało mu to czas, by zrobić na gościu odpowiednie wrażenie. Na szczęście poduszka i koc, których

używał ostatniej nocy, leżały jeszcze na kanapie. Zanim zaprosił matkę Jane na kawę do kuchni, przez chwilę porządkował pościel, bez słowa dając do zrozumienia, gdzie spędził tę noc.

Od razu się zorientował, że Marilee akceptuje go jako przyszłego zięcia. Wydał się jej nieszkodliwym, konwencjonalnym człowiekiem, uprawiającym ogólnie szanowany zawód. Wiedział, jak podtrzymać ten wizerunek. Zanim dołączyła do nich Jane, jej matka zdążyła go polubić.

- Mamo, to bardzo wczesna pora na składanie wizyt - stwierdziła Jane, wchodząc do kuchni.

Samuel obrzucił ją wzrokiem. Bardzo mu się podobała w łagodnych odcieniach błękitu. Nosila za duży sweter i luźne spodnie, a jednak ubranie podkreślało krągłe, ponętne kształty. Przypomniawszy sobie, jak trzymał w dłoniach jej pośladki, i poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Wziął kubek i wypił łyk kawy, by dojść do siebie.

- Nie sądzę, żeby jakakolwiek pora była nieodpowiednia na odwiedzinę u córki - odparła pani Smith.

- Oczywiście, lecz nie przypominam sobie, byś zaglądała do mnie przed ósmą rano - zauważyła Jane, nalewając sobie kawę.

- Obawiam się, że jest bezkofeinowa. Albo nie masz innej, albo jej nie znalazłem - powiedział Samuel.

- Całkiem nieźle smakuje. - Marilee pospieszyła ze wsparciem.

Pani Smith należała do miłych, nie rzucających się w oczy kobiet. Miała włosy nieokreślonego koloru, coś pomiędzy brązowym a - szarym. Nosila beżowe spodnie, a okulary w zbyt dużych oprawkach nadawały jej twarzy wyraz wiecznego zatroskania.

Samuel pomyślał, iż o takich ludziach jak ona zapomina się natychmiast po zakończonym spotkaniu. W jakimś stopniu

podobna anonimowość nawet mu odpowiadała. Zastanawiał się tylko, co się pod nią kryje.

Jane nie usiadła z nimi przy stole. Piła kawę, stojąc.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Za pięć minut wychodzę - oświadczyła.

- Ciągłe nosisz ten tani wisiołek od ojca? Wiem, że jesteś do tej błyskotki przywiązana, ale w pracy powinnaś wyglądać elegancko - zauważyła matka.

Jane zarumieniła się i wsunęła ozdobę pod sweter.

- Nie jest tani - odparła.

Samuel zapamiętał łańcuszek z wisiorkiem na jej szyi, gdy Jane leżała pod nim na leśnym poszyciu. Miała rację. Nie był tani. A jednak mógł stanowić zarzewie konfliktu między dwiema kobietami. Wstał i uśmiechnął się.

- Może jeszcze trochę kawy - zaproponował starszej pani.

- Dziękuję, Samuelu. - Marilee skinęła głową i zwróciła się do córki: - Jak długo zamierzasz zwlekać z przedstawieniem mnie swojemu narzeczonemu?

- Mamo, on po prostu spędził tu dzisiejszą noc. W każdym razie...

- Byłam zdumiona, gdy o nim usłyszałam. Poczułam się dotknięta. Zawsze uważałam, że zbyt mało mi o sobie mówisz.

- Samuel nie jest tak do końca moim narzeczoną - wyjaśniła Jane, przygryzając wargę.

- Powiedziałem twojej mamie, że jeszcze nie wszystko ustaliliśmy na temat charakteru naszego związku - wtrącił się Samuel. - Jane niepokoi fakt, że sprawy między nami potoczyły się tak szybko, pani Smith - dodał.

- Mów mi Marilee - zaproponowała matka Jane, podsuwając swój kubek.

- Marilee - powtórzył, napełniając kubek kawą. - Rozumiem jej skrupuły. W końcu spotkaliśmy się w czasie

wakacji, nie znaleźliśmy się długo przed jej wyprawą w głąb wyspy, a potem się rozstaliśmy. Jakkolwiek ja jestem pewien swoich uczuć, Jane jednak chce mieć więcej czasu do zastanowienia.

Jane mało się nie zachłysnęła kawą, słysząc to wyjaśnienie.

- Ale nawet o tobie nie wspomniała.

- Cenię sobie prywatność. Myślę, że chciała to uszanować. Ale o tobie wiele mi opowiadała - zapewnił, przywołując w pamięci informacje o rodzinie Smithów uzyskane w agencji, z których wynikało, iż rodzice Jane rozwiedli się na krótko przed śmiercią jej ojca w wypadku samochodowym.

Bardzo interesowało go wszystko, co dotyczyło ojca Jane.

- Naprawdę? - Marilee nie ukrywała zaskoczenia. - Nie mogę uwierzyć, byś miał coś przeciwko temu, żeby Jane podzieliła się z bliskimi wiadomością o twoim istnieniu. W końcu sam rozmawiałeś ze mną niezwykle otwarcie. Pewnie tak samo zachowujesz się wobec swoich rodziców.

- Niestety, od kilku lat nie żyją.

Jane zamruczała pod nosem coś w rodzaju: „Dobrze się złożyło”.

Samuel uśmiechnął się na myśl, że Jane nie wierzy w jego słowa nawet wówczas, gdy część z nich jest prawdziwa.

- Och, jak mi przykro - zmartwiła się Marilee. - Masz siostry albo braci?

- Byłem jedynakiem.

- Mamo, daj spokój - poprosiła Jane.

- Nie możesz mieć pretensji, że jestem dociekliwa, skoro sama nic mi nie powiedziałaś.

- Nie wiedziałam, co powiedzieć - odrzekła, rzucając Samuelowi gniewne spojrzenie. - Właściwie nic nie jest ustalone.

- Mogłaś wspomnieć, iż rozważacie możliwość małżeństwa. Nawet nie wiedziałam, że Samuel istnieje, póki nie zadzwoniła Teresa Goodman, która też niewiele wiedziała. Nawet nie miała pojęcia, że on jest nauczycielem akademickim. - Starsza pani spojrzała z aprobatą na przyszłego zięcia.

Do tej chwili Jane również nie miała pojęcia o nowej profesji tego człowieka.

- Jeszcze nie - wtrącił Samuel. - Jak wspomniałem, właśnie zmieniam pracę.

- Och, nie sądzę, byś miał z tym jakiegokolwiek problemy. Z twoim przygotowaniem... Założę się, że Atherton College natychmiast cię zatrudni. To takie miłe, iż przeniosłeś się tutaj dla Jane.

Samuel wiedział, że jego „narzeczona” nie podziela entuzjazmu matki. Miała gniewne błyski w oczach i surowo zaciśnięte usta.

Odstawił kubek i wstał.

- Musimy jechać, bo nie starczy czasu, by podwieźć cię pod bank i zabrać twój samochód - zwrócił się do Jane.

- O Boże! Zupełnie zapomniałam. Przepraszam, mamo, ale bardzo się spieszę.

W tej chwili Jane uznała, że jazda z Samuelem będzie mniejszym złem.

- Twój samochód stoi pod bankiem? Ach, więc o tym wspominała Teresa, dzwoniąc do mnie rano. Powiedziała, że odjechałaś z Samuelem zaraz po zebraniu. Sama cię podwiezę, nie ma sensu kłopotać twego narzeczonego.

- To mu w niczym nie przeszkadza, naprawdę - zapewniła matkę Jane.

Pani Smith nie pozwoliła jednak odebrać sobie inicjatywy.

- Musicie przyjść do mnie na obiad w piątek - powiedziała. - Samuel powinien poznać twoich braci oraz ich

żony. To kochane dziewczyny. Dzieci też są słodkie - dodała.
- Lubisz dzieci, prawda?

- Oczywiście - przyznał. - Pozwól, że ci pomogę - zaproponował, podając płaszcz matce Jane.

Starsza pani była zachwycona.

- Pospiesz się - zawołała do córki.

Samuel pomyślał, iż Jane musi być bardzo niezadowolona z tego, że przekazał matce więcej informacji niż jej samej.

- Masz zagięty kołnierz płaszcza, kochanie - zauważył z uśmiechem, widząc gwałtowne ruchy Jane podczas ubierania.

Poprawiając kołnierz, delikatnie musnął palcami policzek swojej rzekomej narzeczonej, co sprawiło, że dostała gęsiej skórki i przeniknął ją przyjemny dreszcz.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym pocałował Jane na pożegnanie. - Samuel zwrócił się do pani Smith.

Marilee uznała, iż zaczeka na córkę przy samochodzie, i wyszła.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - zasyczała Jane, gdy tylko za jej matką zamknęły się drzwi. - Będzie mnie teraz zameczała pytaniami na twój temat. I co mam powiedzieć?

- Dlatego właśnie postarałem się dla nas o chwilę prywatności. Mogę ci dorzucić kilka informacji o sobie. - Mówiąc to, zauważył, że kiedy Jane się złości, jej oczy nabierają odcienia topazu, podobnie jak w dżungli, gdy się kochali. Wsunął ręce pod jej płaszcz i dotknął piersi.

- Wykładałem w szkole, podobnie jak ty. To nas zbliżyło podczas rejsu. Ostatnio uczyłem historii w małym prywatnym college'u w New Hampshire. Jestem kawalerem, mam trzydzieści jeden lat, dwukrotnie odwiedziłem Amerykę Południową w związku z badaniami naukowymi. Specjalizuję się w historii Ameryki Łacińskiej oraz, w pewnym zakresie,

Azji. Teraz staram się o pracę w Atherton lub gdzieś w pobliżu.

- A co mam jej powiedzieć o twojej ręce? Może któryś z uczniów niezadowolony z oceny tak ci się odwdzieczył?

Samuel zamarł na chwilę. Zaprzątnięty erotycznymi pragnieniami, zupełnie zapomniał o ranie.

- Wypadek z sztyłem - zaproponował wyjaśnienie. - Nie najlepiej radzę sobie z narzędziami.

- Czy cokolwiek z tego, co powiedziałaś, jest prawdą? - spytała Jane.

Widząc jej napięcie, Samuel postanowił nie kłamać. Być może nie będzie w stanie wyznać Jane całej prawdy, lecz to, co powie, nie powinno być kłamstwem.

- Odwiedzałem Amerykę Południową i szukam pracy.

- Tutaj?

Dostrzegał w jej wzroku znacznie więcej pytań niż tylko to jedno. Nagle poczuł się zniecierpliwiony całą sytuacją, zapragnął dostać od Jane to, czego naprawdę chciał. Zamknął jej usta pocałunkiem.

Podziałało. Uspokoila się. Wiedział, że nie może wywierać na nią zbyt silnej presji, ale to króciutkie zbliżenie mu nie wystarczało. Samuel wolałby więcej. Zacisnął dłonie na jej ramionach. Poczuł ból ręki, lecz nie zdołało to powstrzymać jego żądy, choć nieco oprzytomniał. Wyprostował się i spojrzął w oczy Jane. Po tym, co w nich zobaczył, mógł tylko rozluźnić uścisk i pozwolić jej odejść. Rozstali się w milczeniu.

Samuel stał bez ruchu, czekając, aż przycichnie burza zmysłów. Wiedział, iż nie ma nic złego w tym, że pragnie kobiety, z którą zamierza się ożenić.

Wrócił do kuchni, by zatelefonować. Wybrał długą serię numerów i rozłączył się, sygnalizując byłemu pracodawcy, kto chce z nim mówić. Poszedł do salonu, gdzie zamierzał czekać

na reakcję agencji. Miał do dyspozycji dwadzieścia minut, a to dawało czas na rozejrzenie się po wnętrzu. W ten sposób chciał lepiej poznać kobietę, która, być może, będzie matką jego dziecka.

Uważnie przyglądał się książkom i drobiazgom zgromadzonym na półkach. Przykleknął obok wieży stereo, by się przekonać, iż płyteczka została skompletowana z niewielkim znawstwem przedmiotu. Muzyka stanowiła jeden z nielicznych luksusów, na które sobie pozwalał. Samuel nie posiadał zbyt wielu rzeczy, lecz w jednej z przechowalni spoczywał jego znakomity sprzęt do słuchania muzyki, który zamierzał sprowadzić tu jak najszybciej. Musiał tylko poczekać, aż Jane zaakceptuje go jako swojego życiowego partnera.

Nie miał pewności, czy tak to się skończy. Wiedział jedynie, iż pasują do siebie pod względem erotycznym. Jane wyraźnie go pragnęła, a on nieźle znał sztukę uwodzenia. Wierzył, że zdoła ją osiąść jeszcze raz, i bardzo mu było spieszno do tej chwili. Pragnął jednak znacznie więcej niż tylko ciała tej kobiety.

Zawartość półek dostarczyła mu wiele interesującego materiału do spostrzeżeń. Jane lubiła powieści, szczególnie romanse i historie typu fantasy. Dostrzegł również cyrkowe pamiątki po ojcu. Nie wszystko pasowało do wyobrażenia, które wyrobił sobie na jej temat. Na przykład broszury Czerwonego Krzyża. Widać było, iż Jane zaliczyła kilka kursów pierwszej pomocy w sytuacjach kryzysowych. To zastanowiło Samuela. Z jego doświadczeń wynikało, że niewielu ludzi wiodących spokojne życie cywilów bierze pod uwagę fakt, że im także może grozić niebezpieczeństwo.

Zadzwoił telefon. Samuel podniósł słuchawkę i wypowiedział swoje obecne nazwisko.

- Jak ci się podoba Kansas? Jesteś już gotów wrócić do realnego świata? - odezwał się znajomy głos.

Samuel roześmiał się. Tylko Patrick Hayes mógł określać świat tajnych operacji mianem realnego.

- Zapomniałeś, że jestem na emeryturze? - zapytał.

- Opamiętasz się prędzej czy później, a tymczasem mógłbyś mi zrobić uprzejmość i przedyskutować ze mną pewien drobiazg.

- Nie - odparł Samuel bez wahania, mimo że wiele zawdzięczał Patrickowi.

Bez jego pomocy nie mógłby tak bezkolizyjnie uwolnić się od dawnych obowiązków. Nie wszyscy ludzie z agencji zgadzali się, by odszedł.

- Przecież mój powrót tylko skomplikowałby sytuację. Oficjalnie nie żyję - przypomniał.

- Nie, jeśli nie byłbyś etatowym pracownikiem. Potrzebuję wolnych strzelców. Stałbyś się jednym z nich. Nie prosiłbym o to, gdybym nie musiał.

Samuel pomyślał przez chwilę. Lubił Hayesa. Zawdzięczał mu znacznie więcej niż tylko nową tożsamość. Dziesięć lat temu Patrick zaangażował go do pracy, dając poczucie przynależności i szansę interesującego życia. Wówczas Samuel tego potrzebował. Ale potem okoliczności sprawiły, iż zaczął się czuć własnym cieniem, nie bardziej realnym niż nowe postacie, w które nieustannie się wcielał.

- Nie mogę - odrzekł po zastanowieniu.

- Ciągłe chcesz wykorzystywać przeciwko mnie ten mały kłopot z ręką? - spytał Hayes po chwili milczenia

- Zapomniałeś, że sprawa na San Tomas miała być ostatnią usługą?

- Dobrze już, dobrze! Musiałem spróbować. Więc naprawdę zamierzasz uprawiać zboże?

- Nie, doskonalić umysły. Chcę uczyć.

Patrick Hayes nie był jego prawdziwym przyjacielem w takim sensie, w jakim był nim Jack. Szef największym przywiązaniem darzył agencję, lecz mieli pewne wspólne zainteresowania i Samuel lubił z nim rozmawiać. Wiedział, że Patrick nigdy więcej nie będzie nagabywał go o współpracę.

Gdy skończyli rozmowę, uznał, iż powinien jeszcze obejrzeć sypialnię Jane. Położył dłoń na klamce i zawahał się. Tyle razy sekretnie wkraczał w ludzką prywatność, by wypełnić jakąś misję, że tym razem postanowił zaczekać, aż Jane sama go do swojej sypialni zaprosi. Samuel należał do ludzi, którzy łatwo się adaptują, lecz nie był impulsywny. Kaprysy nigdy nie stanowiły części jego życia...

Co mu szkodzi poczekać. Prędzej czy później Jane go tu wprowadzi, a bardzo tego pragnął.

Wrócił do salonu i włożył sportowe buty. Planował, że sprawdzi, jak w Atherton wyposażono sale sportowe YMCA. Sprawność fizyczna wielokrotnie ratowała mu życie i stając się zwykłym obywatelem, nie zamierzał przestać o nią dbać. Jednak biegi uprawiał nie dlatego, że musiał. Jego organizm po prostu potrzebował wysiłku.

Przed wyjściem z mieszkania rzucił okiem na porządnie złożone przykrycie, pod którym spał dzisiejszej nocy. Była nim babcina kapa, która najwyraźniej przechodziła u Smithów z pokolenia na pokolenie i w jakiś niezrozumiały dla Samuela sposób nieodłącznie należała do tego wnętrza. Nie rozumiał tego, bo sam do niego nie należał.

Uczucie braku przynależności doskwierało mu od dawna, więc teraz już ledwo zdawał sobie sprawę z jego istnienia. Właściwie jedynym miejscem, które dotąd uważał za własne, była agencja. Teraz zamierzał osiąść w Atherton. Dlatego właśnie potrzebował Jane. Dzięki niej mógł zyskać akceptację miejscowej społeczności, stać się częścią tego miasteczka.

A jeśli Jane nosi pod sercem jego dziecko, to połączy ich ono nierozzerwalnymi więzami. Cieszył się przez moment tą myślą, a potem cicho zamknął drzwi i wyszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Około szesnastej Jane odłożyła testy swojej klasy do szafki i podążyła do auta. Zwykle zostawała w szkole co najmniej godzinę po dzwonku. Lubiła porządkować zapisy w dzienniku i po lekcjach służyć pomocą uczniom. Czasem gawędziła dłużej z innymi nauczycielami.

Dziś spieszyła się do domu z powodu Samuela. Gdy wyszła na ulicę, niebo było pochmurne, wiał wiatr i zbierało się na deszcz. Z westchnieniem ulgi zasiadła za kierownicą toyoty. To był męczący dzień, choćby dlatego, że musiała odpowiadać na dziesiątki pytań różnych ludzi i stawić czoło ich pełnym zdziwienia spojrzeniom.

Zdawała sobie sprawę, iż uznawano ją za kogoś bardzo zwyczajnego, pospolitego jak lody waniliowe, widziano w niej ostatnią osobę, która mogłaby zainteresować mężczyznę typu Samuela.

Dzisiaj nie wracała do domu zwyczajną trasą. Chcąc odzyskać równowagę psychiczną, ruszyła w kierunku ulicy Drugiej. Gdy skręcała, spadły pierwsze krople deszczu. Lubiła tę starą ulicę. Tędy chodziła w dzieciństwie do szkoły, a w jednym z tutejszych małych domków mieszkała jej najlepsza przyjaciółka. Ulica kończyła się parkiem, do którego prowadziła ją matka. Tu znajdowały się magiczne miejsca Jane. Uwielbiała potężne parkowe dęby, szum ich gałęzi na wietrze.

Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy jechała ulubioną ulicą.

Było jeszcze za wcześnie na wiosenne burze, lecz natura najwyraźniej nie chciała trzymać się swoich zwyczajów. Jane nie przyznawała się do tego nikomu, lecz uwielbiała nawałnice, mimo ich niszczącej siły.

Po pewnym czasie deszcz ustał i rozjaśniło się niebo. Jane włączyła radio, by posłuchać muzyki country. Jakiś kowboj śpiewał, że nikt na niego nie czeka w domu.

Czy zastanę jeszcze Samuela? pomyślała. Miała nadzieję, że wyjechał. Starła się to sobie wmówić, gdy zbliżała się do domu. Powinien to uczynić, przecież go nie prosiła, by został na stałe. W ogóle go nie zapraszała i winna była dać mu rano do zrozumienia, iż ma opuścić jej mieszkanie.

Tylko jak mogła to zrobić wśród zachwytów swojej matki, która witała już Samuela jako nowego członka rodziny? Ale wieczorem Jane postanowiła być nieustępliwa. Ten człowiek mógł zostać w Atherton, jeśli tego pragnął, byle nie mieszkał w jej domu.

Zanim dojechała na miejsce, zobaczyła Samuela, jak stoi pod starym wiązem i rozmawia z Frances Ann. Doskonale prezentował się w dżinsach i ciemnozielonym swetrze ze swoim powiewającym na wietrze kucykiem.

Jane chciała wierzyć, iż uczucie, które przyspieszyło bieg jej serca to gniew, a nie ulga czy absurdalna radość z powodu tego widoku. Już chciała minąć rozmawiających, lecz pomyślała, że Frances Ann nigdy by jej tego nie wybaczyła. Więc zaparkowała auto tuż obok czarnego dżipa i dodając sobie w duchu odwagi, wysiadła z wozu.

- Czemu przy takiej pogodzie wyszłaś na dwór? - zwróciła się do panny MacAllister.

- Twój narzeczony prosił, bym rzuciła okiem na te stare drzewa. Uważa, że powinnam się zgodzić, by ściał tamtą zeschlą gałąź - odrzekła gospodyni, wskazując na wiąz.

- Lepiej zrobić to teraz niż czekać na skutki burzy - odezwał się Samuel. - Matka natura bywa bezlitosna, więc lepiej żeby ta gałąź nie znalazła się nagle w kuchni Jane.

- Umiesz ścinać gałęzie? Sądziłam, że nie bardzo radzisz sobie z narzędziami - zdumiała się Jane.

- Coś wymyślę - rzekł, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Jaki to miły młody człowiek - zauważyła Francis Ann.

- Czuję się znacznie bezpieczniej, mając znów mężczyznę w domu.

Starsza pani rozpływała się nad uprzejmością Samuela, który zaoferował jej pomoc w jeszcze kilku drobnych naprawach. Jane nie mogła poznać swojej zwykle podejrzliwej gospodyni. Ten człowiek wszystkich owijał sobie wokół palca, nawet jej matkę. Podczas ранnej jazdy Marilee próbowała wydobyć z córki, co jej nie odpowiada w Samuelu, czemu jeszcze się zastanawia, skoro taki uroczy i kulturalny człowiek chce się z nią ożenić.

Wyglądało na to, że tylko Jane zna niebezpieczną przeszłość właściciela okularów w złotej oprawce i zdaje sobie sprawę z jego prawdziwych możliwości.

- Pozwólmy lepiej Francis Ann wrócić do mieszkania - zaproponował Samuel. - Poza tym chciałbym ci coś pokazać - zwrócił się do Jane.

- Świetnie - zgodziła się. - Musimy porozmawiać.

Weszli razem na górę. Na schodach było akurat tyle miejsca, że idąc obok siebie, muskali się ramionami, więc Jane postarała się wyprzedzić Samuela.

- Frances Ann powiedziała, że słyszała, jak dzisiejszej nocy ktoś kręcił się wokół domu - rzekł.

- Nie powinna mieszkać sama - odrzekła Jane, starając się opanować przyspieszone bicie serca. - Jej brat z Cincinnati prosił, by się do niego przeniosła, lecz ona nie chce. Ostatnio, ilekroć gałęzie uderzają o dach, zawsze kogoś słyszy.

Jane weszła do mieszkania, rzuciła płaszcz na kanapę, westchnęła i odwróciła się do Samuela.

- Nie wiem, co chcesz mi pokazać, lecz to może poczekać. Najpierw musimy wyjaśnić kilka kwestii.

- Zawsze uważałem, że to najlepszy sposób. Dlatego kupiłem to. Teraz oboje będziemy wiedzieć, na czym stoimy - powiedział, wyciągając małą paczuszkę. - Od dwóch tygodni spóźnia się twój okres, prawda?

Pudełeczko zawierało testy ciążowe.

- Co masz na myśli? - spytała Jane, z trudem przełykając ślinę.

- Gdybyś miała normalne krwawienie po powrocie z San Tomas, nie musiałabyś się przejmować, że wówczas nie użyłem prezerwatywy.

Jane nie przywykła dyskutować z mężczyzną o tak kobiecych sprawach. Zarumieniła się, zażenowana, lecz pomyślała, że nie umiera się od takich rozmów.

- Gdzie to kupiłeś? - zapytała spokojnie.

- W małej, przytulnej drogerii na ulicy Głównej. Bardzo tam przyjemnie. Mają kącik ze słodyczami i gorącą czekoladą. Muszę cię kiedyś tam zabrać.

Odwiedził miejsce pracy Lizy! pomyślała Jane. To moja najlepsza przyjaciółka, która nie wie, co to dyskrecja.

- Wiesz, co zrobiłeś? Do jutra pół miasta będzie wiedziało, że kupiłeś te testy. - Zacisnęła pięści. - Moja matka! - szepnęła. - To się przed nią nie ukryje.

- Prosiłem, by Liza nie mówiła nic nikomu, dopóki twego stanu nie potwierdzi lekarz.

- Jeśli sądzisz, że to ją powstrzyma...

- Może przez kilka dni - powiedział. - Ale jeżeli jesteś w ciąży, ludzie i tak się o tym dowiedzą.

- A jeśli nie jestem? - Jane była naprawdę zdenerwowana.

- Ciągłe wywierasz na mnie presję - zawołała. - Zmusiłeś mnie, bym pozwoliła ci zostać na noc, oczarowałeś mamę i Frances Ann, a teraz, nie wiadomo dlaczego, naciskasz na mnie.

Z trudem panowała nad tym, co mówiła. Wiedziała tylko, że musi jakoś powstrzymać Samuela.

- Taki jesteś niespokojny? Boisz się, że cię złowię na haczyk? W porządku! Zwalniam cię z odpowiedzialności. Nawet jeśli jestem w ciąży, sama dam sobie radę.

Samuel tak szybko ruszył do przodu, że aż musiała się cofnąć. Widząc jego minę, dotknęła ukrytego pod swetrem wisiorka, by dodać sobie animuszu.

- Źle mnie zrozumiałaś. Nie chcę się zrywać z żadnego haczyka. Pragnę się tylko dowiedzieć, czy spodziewasz się mojego dziecka.

- A jeśli tak? - wyszeptała, czując, że to już kres wytrzymałości.

- Nie zostawię cię samej. A już z pewnością nie dopuszczę, byś pozbyła się naszego dziecka - odrzekł spokojnie.

- Och, wcale nie miałam tego na myśli - odpowiedziała, czując, że jeszcze chwila, a się rozplące. - Nie wiedziałam ani co o tym sądzisz, ani czy chcesz tego dziecka, ani...

Czy kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę i czy w ogóle tego pragnę, dodała w myślach.

Samuel spojrzał jej w oczy. Nie potrafiła nazwać uczuć malujących się w jego wzroku. Otoczył ją ramieniem, jakby chciał ofiarować wsparcie.

- Wszystko będzie dobrze. Zaopiekuję się tobą - obiecał, ściskając ją niezgrabnie.

To dzieje się naprawdę, pomyślała. Przegrywając tę bitwę, rozpląkała się i przytuliła do piersi Samuela. Od łkania dostała czkawki.

- Nic nie wiedziałam... nie wiedziałam, czy cię jeszcze zobaczę ani czy... zadzwonisz, a nie zadzwoniłeś. Nie sądziłam, że mógłbyś, ale potem... kiedy okres mi się spóźniał... Nie byłam w stanie sprawdzić, co to znaczy, bo

wszystkie... testy każą czekać dwa tygodnie dłużej. Próbowałam o tym nie myśleć. A po dwóch tygodniach ty się zjawiałeś i nadal nic nie wiem!

Samuel stał nieruchomo.

- Ja nie... - zaczął i zamilkł. Jane nadal męczyła czkawka.

- Chcesz wody? - zapytał.

Jane przymknęła powieki. Ona otwiera przed nim serce, a on proponuje wodę. Powstrzymała łzy.

- Przepraszam - rzekła, siląc się na spokój. - Zawsze dostaję czkawki, kiedy płaczę - wyjaśniła i poszła do łazienki po chusteczkę.

Samuel podążył za nią.

- Płakałaś przeze mnie? Czy dlatego, że boisz się ciąży? - zapytał, stając w drzwiach.

Sam o sobie nic nie mówi, a chce poznać moje tajemnice, pomyślała.

- Teraz możesz... podać mi wodę - rzekła. - Wezmę to - dodała, wyjmując mu z ręki pudełko z testami.

Przychodzi czas, uznała w myślach, kiedy nawet największy tchórz musi stanąć twarzą w twarz z faktami. Kiedy Samuel odszedł, otworzyła opakowanie i przebiegła wzrokiem tekst instrukcji. Gdy wrócił ze szklanką wody, wzięła ją i zamknęła drzwi.

Po kilku minutach wyszła z łazienki. Ręce jej się trzęsły, nie bardzo mogła utrzymać się na nogach, gdy dotarła do salonu, w którym przy oknie czekał Samuel. Nie miała już czkawki ani łez w oczach.

Samuel odwrócił się, by na nią spojrzeć. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Zgodnie z tym testem będę miała dziecko - szepnęła.

Samuel uśmiechnął się promiennie. Niczego teraz nie udawał. Po prostu cieszył się, że zostanie ojcem. Widząc szczęście malujące się na jego twarzy, Jane poczuła się lepiej.

A więc Jane spodziewała się jego dziecka. Uczucia, jakie ogarnęły Samuela, zdawały się wydobywać jego życie z cienia. W tej chwili wiedział, że całym sobą pragnie tego dziecka i to nie dlatego, że ono zwiąże go z Jane albo że pomoże mu zrealizować wszystkie plany. Te plany właśnie zostały zrealizowane. Chciało mu się śpiewać i krzyczeć z radości, ale nie wiedział, jak to zrobić, bo praca w agencji przyzwyczaiła go do ukrywania emocji.

- Musimy to uczcić - powiedział po chwili.

- Jeśli rzeczywiście jestem w ciąży, raczej nie powinnam pić.

- Masz jakieś wątpliwości?

- Nie czuję się ciężarna, ale to chyba głupie, bo przecież nie muszę niczego odczuwać, by stan okazał się prawdziwy.

Jane najwyraźniej nie była tak szczęśliwa jak Samuel, a on pragnął, by dzieliła jego radość. Potrzebował tego.

Władał biegle czterema językami, potrafił się porozumieć w siedmiu, odznaczał się znakomitą pamięcią, umiał się dostać do zamkniętego pokoju, włamać do zabezpieczonego systemu komputerowego, znał siedem sposobów na obezwładnienie człowieka i czternaście na zabójstwo, ale nie wiedział, jak sprawić, by kobieta czuła się szczęśliwa z powodu ciąży.

- Dlaczego się nie cieszysz? - zapytał, podchodząc do Jane.

- A jak myślisz? Jestem w ciąży, nie mam męża i boję się.

- Będiesz dobrą matką - uznał, pragnąc jakoś ją pocieszyć.

- Przed chwilą obawiałeś się, że dokonam aborcji.

- Nie miałem racji.

Tego akurat był pewien. Kobiecie, która ratowała życie robakowi, z pewnością można powierzyć dziecko.

- Zaopiekuję się tobą, jak obiecałem - dodał.

- Dobrze. Wiele kobiet w mojej sytuacji nie ma takiego wsparcia ze strony... ojca dziecka. Pomyślę, jak wszystko zorganizować. Moja mama... - zamilkła na chwilę. - Muszę obmyślić, co jej powiem.

- Mogłabyś ją poinformować, że zamierzamy się pobrać.

- Przecież już to zrobiłeś - zauważyła.

- Nie. Ty mogłabyś jej powiedzieć i mogłoby to stać się prawdą. Pragnąłbym, by tak było.

Samuel poczuł niezadowolenie z siebie, że tak szybko to wypowiedział. Przecież przed chwilą Jane zarzucała mu, że wywiera na nią presję. Nie była gotowa do małżeństwa. Gdy zamrugwała powiekami, wpadł w panikę.

- Tylko nie płacz - poprosił, bo łzy tej dziewczyny nadspodziewanie boleśnie raniły jego serce.

- Dobrze. Rozumiem, że chcesz wszystko uporządkować.

- Właśnie - odparł zadowolony, że Jane wreszcie go zrozumiała, choć nie do końca wiedział, co w Atherton znaczy „uporządkować”.

Standardy, zgodnie z którymi żył w ostatnich latach, nie dawały się tu zastosować, a nie bardzo mógł polegać na instynktownym wyczuciu. Nikt przecież nie nastawał na jego życie i byt żadnego narodu nie zależał teraz od jego działań. Tylko ta słodka istota mogła się przez niego rozplakać. Oczywiście, że należało poślubić matkę swojego dziecka.

- Chcę się z tobą ożenić - rzekł.

- Właśnie to miałeś na myśli, gdy mówiłeś o osiedleniu się tutaj? Czy myślisz może o czymś w rodzaju wyłącznie formalnego małżeństwa, by nadal uprawiać działalność szpiegowską, gdy ja...

- Nie. Przecież powiedziałem, że odszedłem z agencji. Chcę żyć tu z tobą.

Samuel czuł, że cel, który pragnął osiągnąć, jest już blisko.

- Czy tego chcesz? - spytał, gładząc jej włosy. Pieszczota sprawiła Jane przyjemność, więc podszedł jeszcze bliżej, nie przestając jej dotykać.

Miała miękkie włosy i ciepłą skórę. Samuel przesuwał dłońmi po jej policzkach i czuł, jak reaguje.

- Jane - szepnął, pochylił się i pocałował ją.

W ciągu sekundy wszystko się zmieniło. Ciało tej dziewczyny pachniało wiatrem i lawendą. Pragnął jej. Zapomniał o sztuce delikatnego uwodzenia. Miał ogień we krwi.

Ujął dłońmi pośladki Jane i przycisnął ją do siebie. Istniała tylko ta chwila. Bez przeszłości i przyszłości. Samuel jęknął, głęboko wsuwając język w rozchyłone usta. Czuł, że ona też go pragnie. Namiętynymi ruchami dłoni pieściła jego ramiona i plecy. Przez chwilę tulił ją do piersi. Zaskoczyło go, gdy uniosła głowę i odsunęła się.

Po paru sekundach było już za późno. Uwolnił ją z uścisku.

We wzroku Jane namiętność mieszała się z obawą.

- Chciałabym wiedzieć, czy ci na mnie zależy? - spytała niepewnym głosem.

Wiedział, że dzięki kilku odpowiednio dobranym słowom mógł ją mieć, że zaprosiłaby go do sypialni i zaakceptowała jako kochanka. Umiał nieźle kłamać. W tej chwili staczał jedną z najcięższych walk wewnętrznych w życiu. Obiecał sobie, że nie będzie oszukiwać tej kobiety, lecz owa obietnica miała nikłą moc w obliczu targających nim żądz. Przypomniawszy sobie, co mu kiedyś powiedział Jack, przyjaciel, który wrócił, by wydobyć go z opresji, bo tak przyrzekł podczas ostatniej wspólnej misji. Rzadko coś obiecuję, powiedział wtedy, i robię to tylko wówczas, gdy chcę dotrzymać obietnicy, żeby nie wiem co.

Samuel miotał się w gąszczu pragnień.

- Przepraszam - rzekł w końcu.

Jane poczuła się zraniona. Otworzyła oczy i odsunęła się od niego.

- Nie jestem... takim mężczyzną, do jakich przywykłaś. Nie potrafię odczuwać tego, czego ty oczekujesz. Ale pragnę cię - starał się wyjaśnić, widząc, że ją traci.

Nie potrafił usunąć z jej wzroku wyrazu żalu i goryczy.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - dodał.

- Wystarczająco dużo powiedziałeś - odrzekła drżącym głosem i odwróciła się.

- Nadal nie wiem, co myślisz o naszym małżeństwie.

- Potrzebuję trochę czasu. Muszę wiele spraw przemyśleć. Samuel obawiał się, iż jutro nie przyniesie zmiany na

lepsze. Był wściekły na siebie, że ilekroć całował tę kobietę, zawsze tracił nad sobą panowanie. Podeszedł do kanapy i podniósł płaszcz Jane.

- W porządku - rzekł. - Wyjdźmy stąd.

Jane obrzuciła go niepewnym spojrzeniem, a on nie umiał zdobyć się na krzepiący uśmiech, bo ciągle walczył z trawiącymi go emocjami. Wziął Jane pod ramię.

- Ciągle chcę to uczcić - powiedział. - Chodź, pojedziemy gdzieś moim dżipem.

- Za wcześnie na kolację - zaprotestowała słabo, gdy ubierał ją w płaszcz. - I nie mogę pić alkoholu.

- Napijesz się czekolady - zaproponował, zadowolony, że jeszcze nie wszystko stracone, bo Jane zgadza się z nim wyjść.

Ostrożnie sprowadził ją ze schodów, choć z pewnością dałaby sobie radę sama. Jednak miała zostać matką jego dziecka.

Myśl o czekoladzie pitej w małym miasteczku dla uczczenia oczekiwanego potomka sprowadziła uśmiech na twarz Samuela, gdy włączał silnik wozu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie mogę uwierzyć, że mnie tu przywiozłeś - powiedziała Jane, starając się nie rzucać nikomu w oczy.

Fotele w kąciku z napojami drogerii, w której pracowała Liza, miały wysokie oparcia, lecz nie na tyle, by za nimi zniknąć.

- Dlaczego? Przecież to miłe miejsce - rzekł Samuel, gdy siadali w najodleglejszym zakamarku.

Mimo woli usadowił się tak, by za plecami mieć ścianę i dogodny widok na całą salę.

- Nie musisz się obawiać terrorystów - mruknęła Jane. - Uważaj raczej na Lizę. Prędzej czy później się tu zjawi.

- Możemy jej nic o nas nie mówić.

- Nie znasz Lizy. Mogłaby wiele nauczyć agentów FBI, jeśli chodzi o metody śledztwa. - Jane popijała słodki napój, czując, że jej organizm potrzebuje cukru, by wrócić do równowagi.

Nie była w stanie uporządkować myśli. Nie wiedziała, co sądzić o wynikach testu, o wyrazie twarzy Samuela, gdy się o nich dowiedział, o jego propozycji małżeństwa i pocałunku... Wspomnienie tego pocałunku sprawiało, iż czuła gorąco w miejscach, których nie dotykał, choć tego pragnęła. Boże, pomóż mi, modliła się w duchu.

- Dlaczego nie chciałaś tu przyjść? - zapytał.

- Ze stu powodów. Jeden z nich znajduje się przy ladzie. To pan Bryce, mój nauczyciel ze szkoły niedzielnej. Jest też Raymond, chłopiec, który nas obsłużył. To jeden z moich uczniów.

Jane widziała, że Samuel nie rozumie jej zdenerwowania, niepewności, a także... podniecenia.

- Liza mogła wspomnieć Raymondowi o testach ciążowych, które kupiłeś. Nie ma pojęcia, co to dyskrecja.

Jeśli on wie, za parę dni o mojej ciąży dowiedzą się wszyscy uczniowie.

- Czy to stanowi jakiś problem?

- Oczywiście! Mogę nawet stracić pracę. Czy zaaranżowałeś wszystko po to, by znów wywierać na mnie presję?

Trudno będzie odrzucić oświadczenia, jeśli o ciąży dowie się rodzina, uczniowie, a nawet nauczyciel ze szkółki niedzielnej, pomyślała.

- Nie - odrzekł. - Nie przyszło mi do głowy, że to może cię przekonać, byś za mnie wyszła. Gdyby tak było, pewnie bym to wykorzystał, bo naprawdę chcę cię poślubić.

Zawsze traciła oddech, gdy wypowiadał te słowa.

Nie, pomyślała, nie będę sobie wmawiać, że udany seks stanowi wystarczający powód do zawarcia ślubu. Zawsze chodziło mi o poczucie bezpieczeństwa.

- Nie będziemy teraz tego rozważać - ucięła dyskusję.

- A o czym chcesz rozmawiać? - spytał takim tonem, jakby był pewien, że umiałby ją skłonić do rozmowy na dowolny temat.

- O twoim przejściu na emeryturę.

- Nie mogę mówić o byłym zajęciu.

- Nie o to chodzi. Przecież tak naprawdę nie jesteś emerytem. Po prostu zmieniasz pracę.

- Można tak to ująć.

- Naprawdę chcesz się tu osiedlić i uczyć historii w miejscowej szkole?

- Nie potrafisz mnie sobie wyobrazić w tej roli?

- Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się nawet, że możesz być w tym dobry. Jesteś cierpliwy, trudno cię wyprowadzić z równowagi, a to ważne w pracy z nastolatkami. Ludzie cię słuchają nawet wówczas, kiedy kłamiesz.

- Ciebie nie oszukuję.

Jane przeniknęło trudne do nazwania uczucie. Obawa? Wiara? Zmusiła się do koncentracji na temacie rozmowy.

- Tylko trudno mi wyobrazić sobie, że będziesz szczęśliwy, mieszkając w Atherton.

- To znaczy, że w ogóle niczego nie rozumiesz. Czy sądzisz, że wykonywałem swoją pracę w poszukiwaniu rozrywki? Taka rozrywka często zabija.

- Więc czemu to robiłeś?

- Bo byłem w tym dobry.

Jane nie wydawała się przekonana tym wyjaśnieniem. Może Samuel podjął się tego rodzaju pracy, bo uważał, że ktoś powinien ją wykonywać. Każdy lubi czuć się potrzebny.

- Dlaczego zdecydowałeś się na Atherton? - zapytała.

- Kiedy los nas zetknął, byłem już zdecydowany odejść z agencji. - Samuel wyraźnie ważył słowa. - Akcja na San Tomas miała być ostatnią. A poza tym... - Spojrzał na swoją lewą rękę i rozprostował palce. - Spędziłem kilka tygodni w szpitalu i miałem czas na przemyślenia.

- Myślałeś wtedy o... Atherton?

- Tak. Miejsca, w których bywałem wcześniej, nie miały w sobie tego, czego potrzebowałem.

Mówił z przekonaniem i wcale nie wydawał się bezbronny w swoich wyznaniach, więc czemu Jane miała ochotę otoczyć go ramionami i przytulić? Ten człowiek nie szukał komfortu, lecz domu.

- Dlaczego nie wróciłeś w rodzinne strony? Czy w dzieciństwie często przenosiłeś się z miejsca na miejsce?

- Lepiej, jeśli będziesz wiedziała o mnie to, co wszyscy inni. Nie jesteś przyzwyczajona do sekretów.

- Chcę znać prawdę - upierała się Jane. - Poprosiłeś mnie o rękę. Jeśli w rzeczywistości nie jesteś Samuelem Charmaneaux, mam prawo o tym wiedzieć.

Samuel zawahał się.

- Człowiek, którym byłem, nie... - zaczął.

- Witaj, Jane! Czy mogę wam pogratulować? - Tuż obok rozległ się wesóły, kobiecy głos.

Jane chciało się krzyczeć ze złości. Liza wpadła na ich trop. Po chwili podszedł do nich pan Bryce, a potem matka jednego z uczniów. Wszyscy pragnęli dowiedzieć się czegoś o Samuelu. Jane nie mogła mieć im za złe ciekawości, którą sama czuła, lecz pragnęła, by co prędzej znikli jej z oczu. Niewiele brakowało, a dowiedziałyby się czegoś istotnego, tymczasem teraz Samuel znów zamknął się w sobie i swoim starym sposobem czarował wszystkich wokół. Wydawało się, iż zainteresowanie jego osobą bardzo mu odpowiada.

Czyżby zaczynał czuć się w Atherton jak w domu?

Jane obserwowała swego potencjalnego męża w rozmowie z panem Bryce'em i rozważała możliwość, iż być może zachowuje się on naturalnie i niczego nie gra. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, czego ten człowiek pragnie i co ona może mu ofiarować. Widać nie był szczęśliwy w swoim poprzednim wcieleniu. Nie przyznał się do tego, lecz to oczywiste. Przyjechał do Atherton, bo szukał miejsca, gdzie mógłby się zdomowić. Był spragniony kontaktów z ludźmi, jakie nawiązuje się w małym mieście, w którym każdy dom ma własną historię.

Chciał zapuścić korzenie, osiąść gdzieś na stałe. Dlatego tak uszczęśliwiła go wiadomość, iż zostanie ojcem.

Jane mogła mu to wszystko ofiarować, podzielić się z nim tym miastem i jego historią, a także rodziną i dzieckiem, w którego istnienie nie umiała jeszcze uwierzyć. To powinno skłonić go do pozostania. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo chce, by ten człowiek już na zawsze z nią został.

Robiło się ciemno, gdy Samuel usiadł za kierownicą dżipa. Jane nie miała ochoty jeść tam, gdzie wypili czekoladę.

W ogóle nie miała ochoty na kolację w mieście. Samuel zastanawiał się, czy zechce wyprosić go z domu. Postanowił zachowywać się elastycznie, lecz zdecydowanie.

- Twoja matka wspominała o zaproszeniu na jutrzejszą kolację. Będą na niej twoi bracia z rodzinami - powiedział, włączając silnik. - Czy powinienem się obawiać ich reakcji na wieść o naszych zaręczynach?

- Hm? O Boże, to już jutro! - uświadomiła sobie Jane.

- Jacy oni są? Zechcą mnie pobić w ciemnej uliczce?

- Chyba tylko Godzilla mogłaby cię przestraszyć - zauważyła Jane. - Nie sądzę, by zamierzali dać ci lekcję. Obaj są dużo starsi ode mnie i zawsze okazywali raczej nadopiekuńczość. Nigdy nie używali przemocy. - Roześmiała się. - Chyba że w stosunkach między sobą.

Samuel usłyszał teraz o sprawach, które znał wcześniej z raportu. Craig, starszy brat Jane, ożenił się ze szkolną sympatią, Cherry, i miał z nią trójkę dzieci. Kiedy siostra chodziła do liceum, spowiadał ją z randek, uważając się za głowę rodziny. Bill nie znosił warzyw i uwielbiał latać oraz zajmować się komputerami. W zeszłym roku ożenił się z miłą, młodą kobietą. Mieszkali w Topeka z jej dwojgiem dzieci z poprzedniego małżeństwa. Ewa jest Żydówką i Bill rozważał zmianę wyznania.

Czytając w raporcie o żydowskiej szwagierce Jane, Samuel zastanawiał się, jak trudno musiało być tej kobiecie dostosować się do życia w rodzinie z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie.

- Jak to przyjmuje rodzina?

- Mama nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć, dopóki Craig podczas dyskusji na temat religii omal nie pobił się z Billem.

- Pewnie nie spodobała się jej nowa synowa, która mogła wprowadzić do rodziny dysharmonię.

- Och, nie! Craig i Bill zawsze się kłóca. Lubią to. Brali się za bary nawet podczas ostatnich wyborów. Mama zbyt dobrze ich zna, by się tym przejmować, więc sprawę zmiany wyznania Billa potraktowała jak jeden z tych tematów, o które chłopcy zwykli się spierać. Ona miewa kaprysy, ale nie wtedy, gdy chodzi o rodzinę.

Dla Samuela to również była najważniejsza sprawa, więc w duchu poparł Marilee Smith.

- To ostatnia chwila, byś zmieniła zdanie na temat kolacji w mieście - rzekł, skręcając w ulicę, przy której mieszkała Jane.

- Dojeżdżamy do domu - dodał, odczuwając przyjemność na dźwięk tych słów.

- Mam coś w zamrażalniku. Wolę zjeść w domu. Samuel zdziwił się, że Jane proponuje domową kolację, skoro jeszcze niedawno zamierzała pozbyć się go z domu.

- Dobrze gotujesz? - zapytał.

- - Tak. Chcesz zostać zaproszony na kolację?

- Oczywiście.

- Zakładasz, że pozwolę ci zostać ze mną?

- Mam taką nadzieję.

- Wiele sobie obiecujesz. Czy ty ode mnie czegoś chcesz?

- zapytała, gdy dojeżdżali do domu.

- O, tak - odparł, wyłączając silnik, i pomyślał o tych paru rzeczach, których pragnął od tej dziewczyny.

- Nie to miałam na myśli - zareagowała szybko. - Chodzi o to, czego naprawdę chcesz. O prawdziwy dom. Wybrałaś Atherton z pewnych powodów i chcesz tu pozostać. Najłatwiej to osiągnąć, łącząc się z kimś tutejszym, kto pomoże ci nawiązać stosunki z innymi mieszkańcami. Dlatego powiedziałaś wszystkim, że jesteśmy zaręczeni. Nawet jeśli się nie pobierzemy, będziesz miał jakiś punkt zaczepienia jako człowiek, który miał się ożenić z tą małą Smithówną.

Samuel pomyślał, że nie doceniał Jane. Dostrzegła w jego sytuacji znacznie więcej niż on sam. Poruszyło go, iż tak dobrze rozumiała jego problemy.

- Częściowo masz rację - przyznał.

- To mogę ci dać - odrzekła, - Pomogę ci zaaklimatyzować się w Atherton.

Samuel milczał przez chwilę.

- A czego chcesz w zamian? - spytał w końcu.

- Ja nie... To znaczy, tak, chcę czegoś. Masz rację, twierdząc, że będzie mi łatwiej, jeśli wszyscy uwierzą, iż jesteśmy zaręczeni. Powinniśmy udawać, że tak jest. Sam to zresztą od początku sugerowałaś. Uczciwy układ, prawda?

Samuel nie dbał o taką uczciwość. Pochylił się i dotknął dłonią jej policzka.

- Zapomniałaś o czymś - zauważył.

- Doprawdy?

Nie miał zamiaru jej pocałować. De razy to robił, sprawy wymykały się spod kontroli i działo się coś złego. Widział podniecenie Jane, mgiełkę w jej oczach.

- Wolałbym, by nasze zaręczyny nie były udawane.

- Wiem. Nie dałam ci jeszcze odpowiedzi.

- Właśnie. - Pogłaskał Jane po policzku, przesunął palcami po szyi i wyczuł przyspieszone tętno.

- Po przemyśleniu... uznałam, że nie powinieneś tego robić, Samuelu.

- Tak?

Dotknął karku Jane, zamiast położyć rękę na jej piersiach, jak tego pragnął. Miała chłodną skórę, bo wieczór nie należał do najcieplejszych. Gdy poczuła ciepło promieniujące z męskich palców, zadrżała. Dreszcz podniecenia udzielił się także Samuelowi, który uznał jednak, że nie czas teraz folgować żądom. Tym razem to Jane winna pragnąć zbliżenia. Zamierzał doprowadzić ją do takiego stanu, by

zgodziła się na wszystko, czego on zażąda. Odwrócił jej głowę ku sobie i pochylił się nad nią.

- Chcesz zostać w moim mieszkaniu.

- Tak - przyznał, muskając wargami jej policzek i szyję.

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem - szepnęła.

- Jakim? - zapytał, zaskoczony, że Jane może myśleć w tej chwili o jakichś warunkach, skoro w ogóle nie powinna myśleć.

- Nie będziemy się całować.

- Co takiego?

- Mówiłam, że potrzebuję czasu, więc dopóki będziesz ze mną mieszkał, nie chcę, byś mnie dotykał - powiedziała szybko. - Nie mogę logicznie myśleć, gdy to robisz. Żadnego dotykania i pocałunków, dobrze?

- Zgadzam się. Obiecuję nie dotykać cię i nie całować w twoim mieszkaniu - rzekł z uśmiechem. - Tego chcesz?

Jane zawahała się przez chwilę, jakby wyczuwając pułapkę w jego słowach.

- Nie jesteś pewna, czy możesz mi zaufać? Nie zachowywałem się najlepiej w twojej obecności, prawda? Żeby wszystko było jasne, rozumiem, że dasz mi znać, jeśli zmienisz zdanie. Nie wejść do twojej sypialni, póki mnie nie zaprosisz.

- Jest kanapa...

- Na kanapie też cię nie wezmę. Nie zrobię tego, chyba że sama o to poprosisz.

- Nie dojdzie do tego, jeżeli... - przerwała, nie chcąc, by Samuel poznał inne warunki umowy. - Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - zakończyła.

- Ja też - powiedział Samuel, choć zdawał sobie sprawę, że nadchodzące dni nie będą łatwe dla żadnego z nich.

Od czego jednak jest sztuka uwodzenia...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Podaj mi ziemniaki.
- Mamo, Charlie kopie!
- Wcale nie.
- A więc, Samuelu, co sprawiło, że zdecydowałeś się osiedlić w Atherton?
- Nałożyć ci jeszcze groszku, Jane?
- Charlie, przestań kopać siostrę.
- Tak, mamo, jest pyszny.
- Atherton ma coś, czego nie mają inne zakątki tej ziemi - rzekł Samuel, spoglądając z uśmiechem na Jane, a ona odwzajemniła uśmiech.

Nie mogła się powstrzymać, choć wiedziała, że to część spektaklu odgrywanego dla jej rodziny. Samuel tak czule na nią patrzył. Ciemnogrnatowa koszula pogłębiała błękit oczu ukrytych za okularami w złotej oprawce.

Tak więc kolacja przebiegała bez zakłóceń. Do tej pory wylano tylko jedną szklankę mleka i Samuel czuł się nad podziw dobrze w rodzinnym chaosie spowodowanym przez siedmioro dorosłych i pięcioro dzieci przy jednym stole. A więc dałam mu to, czego oczekiwał, pomyślała Jane. Kiedy przyjechali, zaczęła pomagać matce i szwagierkom w kuchni. Mężczyźni mieli dopilnować, by dzieci umyły ręce i nie wdawały się w bójki. Nikt nie bawił się podawaniem koktajli. Jeśli jesteś zaproszony na kolację do Marilee Smith, masz siadać i jeść.

Jane rozejrzała się wokół. Moja rodzina może czasem doprowadzać do szału, ale to dobrzy ludzie, pomyślała. Craig był od niej o osiem lat starszy. Być może brakowało mu nieco wyobraźni, lecz był całym sercem oddany rodzinie. Siedział u szczytu stołu, dając baczenie na swoją najstarszą latorośl, gdy Cherry zajmowała się bliźniakami. Przez pierwsze dziesięć

minut spotkania indagował Samuela na temat jego profesji i dochodów. Jak na Craiga było to powściągliwe zachowanie.

Bill, jako jedyny z rodzeństwa, był podobny do ojca. O sześć lat starszy od Jane, ciemnowłosa mężczyzna, nigdy nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu. Pewnie nawet teraz przytupywał nogą pod stołem. Ktoś nie znający jego rodziny uznałby, iż siedzący obok niego rudzielec to rodzony syn, a nie dziecko, które w zeszłym roku dołączyło do klanu Smithów, kiedy Bill poślubił jego matkę, Ewę.

Małżeństwo wspaniale powiększa rodzinę. Jane pomyślała, że jej matka od razu pokochała dzieci nowej synowej. Marilee zawsze uważała, że im więcej dzieci, tym lepiej.

Położyła dłoń na swoim płaskim brzuchu. Miała dziś na sobie jedną z ulubionych, aksamitnych sukienek. Ładnie w niej wyglądała. Gdy dotykała miękkiego materiału, czuła, że ma zimne ręce.

Od trzech dni nie męczyły jej mdłości, to znaczy od chwili, kiedy pojawił się Samuel. Co to mogło znaczyć?

Bill dowiódł po raz kolejny, że w głowie mu tylko komputery, i przerywając ogólną rozmowę, zwrócił się do narzeczonego siostry o opinię na temat opłat za używanie sieci internetowej, o których zwiększeniu dyskutowano w parlamencie.

- Przy obiedzie nie mówcie o polityce - zaprotestowała stanowczo Marilee.

- Mamo, to nie dotyczy polityki, ale komputerów.

- Nie przy stole! Możecie spierać się na ten temat później.

- Mamo, Charlie znowu mnie kopie! - rozległ się cienki głosik.

Jane spojrzała na Samuela. Sądziła, że człowiek, który nie przywykł do życia w rodzinie, będzie się czuł przytłoczony i

być może zechce uciec od chaosu. Pochyliła się ku niemu, by sprawdzić jego samopoczucie.

- Nie zamierzasz stąd wyjść? - zapytała. - Podoba ci się u nas, a może bliźniaki znowu użyły maminego kleju, który klei wszystko, i nie możesz się ruszyć?

- A już to kiedyś zrobiły? - zdziwił się. - Podoba mi się twoja rodzina. Wszyscy mają w sobie tyle energii.

- Można tak to ująć - zgodziła się Jane, uznając, iż być może Samuel rzeczywiście dobrze się czuje w domu Smithów.

- Twoja mama jest w swoim żywiole - zauważył.

- Często mówi, że żyje po to, by rozpieszczać wnuki - przyznała Jane. - Uwielbia mieć je przy sobie.

Teraz obok Marilee siedziało dwoje nowych wnucząt, Benji i Anna.

- Nie sądzisz, że byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że będzie miała jeszcze jednego wnuka do rozpieszczania?

- Na razie nie. Nie chcę nic mówić, dopóki lekarz nie potwierdzi ciąży.

Rano Jane zamówiła wizytę kontrolną na piątkowe popołudnie. Tego dnia wieczorem miał się odbyć bal Towarzystwa Dobroczynności.

- Jeśli Liza zacznie mówić o testach, mama może dowiedzieć się o wszystkim wcześniej, niż przypuszczasz. Nie lepiej, żeby poznała prawdę w naszej wersji?

- Jeszcze nie - powtórzyła Jane, nie wiedząc, czemu się tak upiera. Może z tchórzostwa?

- Myślę, że... - zaczął Samuel, rozglądając się wokoło. - Twoja mama ucieszyłaby się nowiną, lecz bracia chyba mniej - zakończył z rozbawieniem.

Jane zaczęła podejrzewać, że Samuel chce mimo wszystko ujawnić jej tajemnicę, by w ten sposób ściślej związać się z rodziną. Jediną przeszkodę stanowił brak jej aprobaty dla tego

pomysłu. Z napięciem spojrzęła mu w oczy, lecz miał tak przyjazny wzrok, iż ogarnęła ją fala ciepła.

Odwróciła się i zjadła kilka ziarenek groszku z talerza. Nie miała ochoty przekonywać się, że sprawa jej samopoczucia znajduje się na samym końcu listy spraw ważnych dla Samuela.

- Rozmawiałam dziś z Sandy Clemmons - rzekła Marilee Smith. - Bardzo chce, żebyś z nią pojechała na ten kurs pierwszej pomocy.

- To coś znacznie ważniejszego. Kurs organizowany jest dla ludzi, którzy mieliby kierować ochotnikami niosącymi pomoc poszkodowanym przez klęski żywiołowe i inne nieszczęścia.

- Wszystko jedno. I tak uważam, że to nie dla ciebie.

- A ja biorę pod uwagę udział w tym szkoleniu - powiedziała stanowczo Jane.

- Nie wiem, po co - wtrącił Craig. - Przecież to strata czasu, a ty nie masz do tego predyspozycji.

- Jest zanadto wrażliwa! - roześmiał się Bill. - Pamiętasz, jak w liceum mama musiała jej pisać usprawiedliwienie, bo Jane nie mogła kroić żab na biologii?

- Krojenie żaby to niezupełnie to samo co radzenie sobie w sytuacjach kryzysowych - rzekł Samuel. - Jane całkiem dobrze się sprawdza w trudnych warunkach. Nie załamuje się. Podobnie działa w szkole.

- Te niewielkie kryzysy, z jakimi styka się nauczyciel, to nie to samo co powódź czy tornado - nie ustępował Bill.

- Dawała sobie radę również podczas ucieczki przed partyzantami - zauważył Samuel.

Zarówno Jane, jak i reszta rodziny byli zaskoczeni wsparciem Samuela.

- Chyba nie chciałbyś widzieć jej w niebezpiecznej sytuacji - rzekła Marilee. - Ratowanie ludzi bywa ryzykowne. Wystarczy, że o tym pomyślę, a już drży mi serce.

- Dlaczego? Przecież o wiele lepiej być przygotowanym do niebezpieczeństwa niż nie przygotowanym - stwierdził Samuel.

- Nie sądzę, by to miało jakieś znaczenie - zauważył Craig. - Jane nie będzie miała zbyt wiele czasu na takie rzeczy, prawda? - zapytał z uśmiechem. - Jeśli to, co słyszałem o dzwonach weselnych, jest prawdą - dodał. - Ustaliliście już datę ślubu?

Jane ścisnęła w rękę widelec. Jeśli Samuel chce powiedzieć o dziecku, to teraz ma okazję, pomyślała. Mógłby zauważyć, że w takich okolicznościach nie będą długo czekać.

- Jeszcze nie - usłyszała i odetchnęła z ulgą. - Musimy omówić wiele szczegółów.

- Mam nadzieję, że zaplanujecie duże wesele! - zawołała Cherry.

- Czy to znaczy, iż wreszcie potwierdzasz zaręczyny?

- Marilee zwróciła się do córki z nadzieją w oczach.

- Tak - odparła Jane, spoglądając na Samuela.

- To wspaniale - zauważyła Ewa. - Słuchaj, znam świetny butik ze strojami ślubnymi w Kansas City, gdzie...

- Będziecie potrzebowali różnych drobiazgów, prawda?

- spytała Cherry. - Koleżanka mojej siostry ma ich wiele. Myślę, że będę mogła je załatwić po przystępnej cenie.

- Babciu, chcę siusiu - rozległ się cienki głosik Anny.

- Teraz robią takie piękne przybrania z kwiatów.

- Babciu, siusiu!

- Uwielbiam śluby w kościele.

Nie mogąc ściągnąć uwagi babki, Anna zwróciła się do następnej dorosłej osoby.

- Sam, pójdziesz ze mną na siusiu?

- Oczywiście - zgodził się natychmiast i wstał od stołu, co uciszyło rozmowy. - Jednak nie wiem, gdzie jest łazienka - zauważył.

- Och! - zawołała matka Jane. - Ja z nią pójdę.

- Chcę iść z Samem - odparła stanowczo trzylatka i uniosła ciemnowłosą główkę, by spojrzeć na przyszłego wujka. - Nie wiesz, gdzie się tu susia? - spytała z niedowierzaniem.

- Obawiam się, że nie - przyznał.

- Najpierw musisz mnie zsadzić - powiedziała dziewczynka i wyciągnęła rączki.

Samuel zdjął dziecko z krzeselka, a mała podała mu rączkę.

- Chodźmy - zakomenderowała. - Pokażę ci, gdzie jest łazienka.

Ewa zerwała się z krzesła.

- Ja z nią pójdę.

- Siadaj, siadaj - rzekła Marilee. - On chce wejść do rodziny, więc niech ma pewne obowiązki.

- Ale...

- Co myślisz o konserwatystach? - Craig zwrócił się do brata. - Mają jakąś szansę?

Rozmowa stawała się coraz głośniejsza. Jane z drżeniem serca obserwowała Samuela zajmującego się małym dzieckiem.

- ...myślałaś o liliach, Jane? Jane! - powtórzyła matka.

- Och! - Jane drgnęła i spojrzała na zgromadzonych przy stole. - Lilie są bardzo ładne - powiedziała.

- Teraz będzie o nie trudno. Zależy, na kiedy zaplanujecie wesele. Jesienią...

- Mamo, Charlie znów mnie kopie.

Szum toczących się rozmów ledwie docierał do Jane. Nie słuchała, co matka mówi o weselu ani o co kłócą się bracia.

Zastanawiała się wyłącznie nad tym, co przyszło jej do głowy na widok Samuela z Anną.

Zrozumiała, że jest zakochana w tym człowieku albo przynajmniej w jednej z jego życiorysowych wersji i bardzo pragnęła, by ta wersja okazała się prawdziwa.

Kiedy wychodzili od matki, wiał silny wiatr. Jane wsiadła do dżipa przed Samuelem, którego zatrzymał Craig, radząc, gdzie najlepiej kupić dom w Atherton. Mężczyźni stali obok wozu i rozmawiali przez chwilę.

Jestem zakochana, pomyślała Jane. To wspaniałe i przerażające.

Bezpiecznie skryta w ciemnościach przyglądała się Samuelowi. Wyglądał jak zwykle egzotycznie ze swoim kucykiem na głowie i w długim, ciemnym płaszczu rozwiewanym teraz przez wiatr.

Miły z niego człowiek, uznała w duchu Jane. Podejrzewała, że Samuel nie myśli o sobie w ten sposób, lecz jego podejście do ludzi wskazywało, iż potrafi być wyjątkowo uprzejmy. Umiał uważnie słuchać. Może stąd brała się sympatia, którą szybko zyskiwał. Przypomniała sobie, jak bronił jej planów szkoleniowych wobec rodziny. Naprawdę postrzegał ją jako silną i kompetentną kobietę? Bardzo chciała się dowiedzieć, co myślał, gdy na nią patrzył, choć z drugiej strony obawiała się tego, co mogłaby odkryć. Była taka zwyczajna... podczas gdy on... Zresztą, cokolwiek myślał i tak jej nie kochał. Ale pragnął. A może udawał? Może to tylko część planu, który miał posłużyć założeniu rodziny i znalezieniu sobie domu?

Na wyspie nie udawał. Naprawdę jej pożądał.

Mężczyźni skończyli rozmowę i Samuel wsiadł do auta.

- Craig zawsze lubił doradzać - zauważyła Jane.

- Sądzi, że powinienem kupić dom. Naprawdę ma na oku coś, co by mi odpowiadało.

- Cały Craig - roześmiała się Jane. - Ze wszystkimi w rodzinie tak postępuje. Dbą o każdego.

- Ja nie jestem członkiem rodziny - odparł Samuel.

- Lecz on gotów cię zaakceptować - odrzekła spokojnie.

- Dał ci to do zrozumienia, mówiąc o domu.

Samuel nie odezwał się. Jane obserwowała, jak zapalał silnik. Zawsze fascynowały ją jego ręce. Szybko, by nie stracić odwagi, odwróciła się i pocałowała go w policzek, a potem równie błyskawicznie się odchyliła.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Za co?

- Że zapewniłeś wszystkich, iż dobrze sobie radzę w kryzysowych sytuacjach. Myślę, że to powiedziałeś, ponieważ..

- Nie - przerwał jej Samuel. - Powiedziałem tak, bo to prawda. Widziałem, jak się zachowujesz, będąc w niebezpieczeństwie. Możesz nie wiedzieć dokładnie, co robić, ale po to jest szkolenie. Interesuje cię kurs, o którym wspominała mama?

- No cóż... tak. To dziwne, bo nie należę do osób, które lubią ryzyko, ale chciałabym wziąć udział w tym szkoleniu.

- Zrób to. - Samuel obejrzał się i zmienił kierunek jazdy.

- Przeszłabyś się ze mną? - zapytał.

- Przejść się? Jest późno.

- Nie ma jeszcze dziesiątej - zauważył z lekkim uśmiechem. - Pojeździłem dziś po mieście, gdy byłaś w pracy. Niedaleko jest park. Chciałbym tam z tobą pójść.

Park na ulicy Drugiej? Jane poczuła wzruszenie na myśl, iż odkrył park, który był dla niej miejscem magicznym.

- To jedno z moich ulubionych miejsc - przyznała.

- Cieszę się. Pójdziemy tam i opowiesz mi wszystko, co o nim wiesz. Możesz mi też opowiedzieć o ojcu.

- Dlaczego chcesz o nim słuchać?

- Bo to z jego powodu uważasz, że nie nadajesz się do podejmowania ryzyka, prawda?

Za dnia park wydał się Samuelowi bardzo piękny. Rosły w nim stare drzewa. Przyjemnie było tu spacerować. Ścieżki prowadziły do piaskownic i zjeżdżalni dla dzieci. W centrum przygotowano miejsce na piknik.

W ciemnościach wszystko wyglądało inaczej. Noc zawsze dodaje tajemniczości, pomyślał, patrząc na alejki oświetlone latarniami stylizowanymi na gazowe. Wiatr szeleścił wśród gałęzi starych wiązów. Im dalej od ścieżek, tym bardziej gęstniała ciemność.

Atherton było bezpiecznym miastem, lecz Samuel zawsze zachowywał ostrożność w zacienionych miejscach.

- Wiesz, że nie powinniśmy tu wchodzić - zauważyła Jane.

- Naprawdę? - zdumiał się i ucieszył, bo oczy Jane płonęły z podniecenia.

- Nie zauważyłeś znaku na bramie? O tej godzinie park jest zamknięty. Latem bywa otwarty dłużej, dlatego oświetlają go latarnie, ale nie zimą.

Samuel spostrzegł znak i niskie ogrodzenie, które mógłby przeskoczyć nawet pięciolatek. To miłe, pomyślał, że istnieją miejsca, w których ludzie respektują znaki na płotach.

Uśmiechnął się do Jane, której z pewnością sprawiało przyjemność to małe wykroczenie.

- Czy nas aresztują? - zapytał.

Roześmiała się tak, że aż się zatrzymał, bo nie słyszał jej śmiejącej się w ten sposób od czasu spotkania na San Tomas. Przystanąła i zaczęła nasłuchiwać.

- Coś nie w porządku? - zaniepokoiła się.

- Nie. Przed kim zamykają park na noc? Przed krokodylami?

- Och, nie - odparła wyraźnie rozbawiona. - Za dużo dzieciaków z liceum urządza tu sobie spotkania, a potem trzeba sprzątać puszki po piwie.

- I ten zakaz powstrzymuje nastolatków od spotkań?

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Ale teraz robią to ukradkowo, a więc rzadziej i jest mniej śmieci. Nocą chodzą tu patrole, ale nie zapuszczają się w głąb parku, więc pewnie nikt nas nie aresztuje. Latem policjanci zjawiają się znacznie częściej. Park kończy się wąwozem, a tam można znaleźć wiele zacisznych zakątków porośniętych miękką trawą, która przyciąga pary zakochanych.

- Kochanie się na łonie natury to wspaniała rzecz - zgodził się Samuel, odgarniając rozwiewane wiatrem włosy z twarzy Jane. - Masz takie piękne włosy - szepnął. - Bywałeś w tych zacisznych zakątkach jako nastolatka? - zaciekawiał się i jeszcze raz dotknął policzka Jane, co sprawiło, że poczuła fale ciepła.

- Co cię to obchodzi?

A jednak Samuel chciał wiedzieć, choć nie czuł zazdrości o szkolnych kolegów Jane. Pragnął tylko zyskać pewność, że ten jej pierwszy chłopak był subtelny i delikatny.

- Sądzę, że bywałeś - powiedział, nawijając pasmo jej włosów na palec.

- Na miłość boską, Samuelu...

- Opowiedz, jaka byłaś niegrzeczna tam na trawie wąwozu w letnią noc.

- Nie mam zamiaru tego robić - odpowiedziała z uśmiechem, który świadczył, że chce się z nim podroczyć. - A ty opowiesz mi o swojej pierwszej miłości?

Przez chwilę Samuel widział to znowu. Koc rozłożony na podłodze starego magazynu, połysk czarnych dziewczęcych włosów, ciemne, niecierpliwie oczy. Pamiętał pisk szczurów za ścianą. Miała siedemnaście lat i była spragniona czegoś, czego

on wówczas nie rozumiał i... Był dużo od niej młodszy i to, co robili, trudno nazwać seksem. Wiele go nauczyła, a pod koniec krzyczała jego imię. Danny...

- Samuelu? - Jane dotknęła jego policzka. - Co ci się stało?

- Nic - odpowiedział odruchowo, a ona popatrzyła nań zaniepokojona. - Nie będę ci dokuczał, prosząc o wyznania na temat pierwszej miłości, jeśli pokażesz mi inne ulubione miejsca w tym parku - zaproponował łagodniejszym tonem.

Jane roześmiała się, a jej śmiech znowu obudził mu w pamięci obraz czternastoletniego chłopca, który częściowo utracił przed laty niewinność. Samvel poczuł się młody i wewnętrznie czysty.

- Zgadzasz się? - zapytał. - Może drabinki do wspinaczki?

- O nie, spadłam z nich jako pięciolatka. Boję się wysokości, ale lubię się huśtać, a w tym parku mają najcudowniejszą huśtawkę na świecie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaczął ją huśtać. Na niebie błyszcząły gwiazdy, chłodny wiatr rozwiewał włosy i poły płaszcza Jane. Aksamitna sukienka owijała się wokół nóg.

- Wyżej, wyżej - wołała.

- Sądziłem, że boisz się wysokości - powiedział Samuel, jeszcze silniej popychając huśtawkę.

- Tylko wtedy, gdy stoję! Kiedy siedzę, mogę ryzykować, ile dusza zapagnie.

- Dziwne, że córka kogoś, kto chodził po linie, ma takie problemy.

Słowa te sprawiły, iż z serca Jane uleciała część radości. Nic nie odpowiedziała.

- Zawsze bałaś się wysokości i ryzyka?

- Nie wiem - odparła, przymykając oczy. - Cóż to ma za znaczenie. Tata i tak nie zwracał na mnie uwagi. Nie przejmował się tym, że go nie kocham - powiedziała i spojrzała w ziemię.

- Ale ty go kochałaś. Ile miałaś lat, kiedy rodzice się rozwiedli? - spytał, lekko popychając huśtawkę.

- Chwileczkę. - Jane przestała się huśtać i uniosła powieki. - Skąd wiesz o rozwodzie? Przecież ci o tym nie mówiłam.

- Agencja, dla której pracowałem, ma dostęp do różnych informacji, podobnie jak instytucja, dla której pracuje twój brat. Przed przyjazdem tutaj przeczytałem odpowiedni raport.

Jane przypomniała sobie, iż Bill wspomniał kiedyś, że przyjmując rządową posadę, poddał się kontroli urzędu bezpieczeństwa.

- Mnie też sprawdziłeś? - zapytała.

- Jeślibym tego nie zrobił, a związał się z tobą, zajęłaby się tym agencja.

- Po przyjeździe mówiłeś o danych statystycznych dotyczących Atherton - rzekła. - Czyżbyś zlustrował całe miasto?

- Obawiam się, że nawet moja agencja nie byłaby w stanie tego dokonać. Większość danych uzyskałem przez Internet.

Jane podniosła się.

- Chciałem dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Niektórym kobietom by to pochlebiało.

Odeszła od huśtawki i zapięła płaszcz, bo odczuła zimno.

- Gdzie znalazłeś o mnie informacje?

- Nie zmieniaj tematu.

- Sam zmieniasz temat, kiedy tylko rozmowa zaczyna dotyczyć twojej tajemniczej agencji, a tu chodzi o raport na temat mojej rodziny.

- Chodzi o ciebie i o to, że boisz się ryzyka. Jakoś nie chcesz o tym podyskutować.

- Nieważne.

- Przeciwnie. Unikasz ryzyka, bo sądzisz, że mu nie podołasz.

Samuel znowu stał blisko niej. Dlaczego to robił? Wsunął dłonie pod płaszcz Jane i objął ją w talii. Jego ręce były cudownie ciepłe.

- Bracia lubią traktować cię jak bezradną istotę. Matka widzi wszędzie niebezpieczeństwo. Już to wystarczy, by wytłumaczyć twoją rezerwę wobec ryzykownych sytuacji, ale sądzę, że i ojciec odegrał w tym jakąś rolę.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Po prostu nie jestem wystarczająco odważna, choć czasem myślałam, że gdyby mi pozwolono jeździć z ojcem...

- Co masz na myśli?

- Początkowo mama jeździła z ojcem. Każdego lata, gdy cyrk udawał się w objazd, mama i chłopcy podróżowali razem

z nim. Możesz sobie wyobrazić moją mamę w cyrkowym wozie?

- Nie - powiedział, przyciągając ją do siebie.

Jane z westchnieniem pozwoliła na tę bliskość. Czuła się bezpieczna, bo przecież obiecał, że zachowa dystans. Położyła ręce na piersi Samuela, by stworzyć dodatkową barierę.

- Jak długo twoja matka podróżowała z ojcem?

- Póki ja się nie urodziłam. Wówczas mama uznała, że zbyt trudno żyć w ten sposób z małym dzieckiem. Podejrzewam, iż stałam się dobrym pretekstem dla porzucenia egzystencji, której nienawidziła. Więcej już z tatą nie jeździła. Mieszkali razem w czasie zimowej przerwy w objazdach, a latem wracała do rodzinnego Atherton. Mówiło się, że kiedy podrosnę, pobędę z ojcem przez kilka tygodni tak jak bracia Tato uważał, że mogłabym... ale jakoś nigdy do tego nie doszło. A po rozwodzie. .. - Westchnęła. - Nikt z nas z nim już nie jeździł.

- A więc nigdy nie miałaś okazji poznać smaku cyrkowego życia ojca.

- Nie.

Pamięć o tym nie była już bolesna, lecz zawierała jeszcze dozę goryczy.

- Widywałam go na przedstawieniach. Mama zabierała nas tam zawsze, ilekroć cyrk znajdował się w pobliżu. Nigdy nie zapomnę widoku taty w świetle jupiterów, balansującego wysoko na linie... Tak naprawdę to nie była lina.

- Nie?

- Raczej kabel kilkucentymetrowej grubości, ale i tak bardzo wąski - dodała szybko, nie chcąc, by Samuel pomyślał, że ojcu brakowało odwagi.

On zaś lekko przesunął dłońmi po jej ciele.

- Twój ojciec pochodził z cyrkowej rodziny? - zapytał.

- Skądże! Urodził się w Middleton, jakieś siedemdziesiąt kilometrów stąd. Ciągłe mieszkają tam moi kuzyni. Rodzice ojca przenieśli się kilka lat temu na Florydę. Zawsze myślałam, że gdybym mogła pojeździć z ojcem, nabrałabym więcej śmiałości.

- Dlatego, że pochodził z Middleton? - spytał Samuel z uśmiechem.

- Odwaga nie była jego cechą wrodzoną. Nie odziedziczył po nikim umiejętności chodzenia po linie. Jego rodzice byli przerażeni, gdy się dowiedzieli, co zamierza robić w życiu, ale on twierdził, że zawsze tylko tego pragnął.

- Musiało mu być ciężko - zauważył Samuel. - Nie urodziwszy się w cyrkowej rodzinie, nie mógł odpowiednio wcześniej zacząć treningów, nie miał odpowiednich kontaktów ani zaufania wśród cyrkowców.

Dotknął ręką włosów Jane i zaczął je delikatnie gładzić.

- Tak, nie było mu łatwo. Na początku bardzo ciężko pracował. Dopiero po paru latach doczekał się własnego numeru.

Samuel musnął wargami jej włosy. Chce mnie pocałować, pomyślała i mimowiednie rozchyliła usta. Jej serce biło jak szalone, ale on tylko spojrzał jej w oczy.

- Podejmował jedynie konieczne ryzyko - rzekła. Męska ręka przesunęła się po jej ciele.

- Mogłaś się przekonać, że jesteś równie zdolna do podejmowania ryzyka jak twój ojciec, jeśli tylko czegoś bardzo chcesz - powiedział i dotknął jej piersi.

- Obiecałeś! - zawołała zaskoczona.

- Że nie będę cię uwodził w twoim mieszkaniu. - Samuel nie ustawał w pieszczocie jej piersi. - Przyrzekłem, że tam nie będę cię całował, ale teraz jesteśmy gdzie indziej. - Uśmiechnął się.

Jane wiedziała, że nie powinna mu pozwalać na takie poufałości. Przecież wyraźnie ją zwiódł, dowodząc, że nie można mu ufać. A jednak pragnęła jego pieśczoć coraz bardziej. Podniecał ją namiętny wzrok tego człowieka. Samuel pochylił się, lecz nie zaczął jej całować.

- Moja obietnica nie obejmowała dotykania cię w parku
- szepnął, pieścąc wargami jej włosy i delikatnie uciskając kciukiem sutkę piersi, co sprawiło, że Jane przeniknęło drżenie.

Lekko pocałował płatek jej ucha i wziął go w usta.

- Samuelu... - westchnęła.

Silne palce zacisnęły się na jej piersi. Uniósł głowę. Widziała jego pociemniałe oczy i napięcie malujące się na twarzy.

- Będę delikatny. Nie musisz się bać, ale potrzebujemy ciemności.

- Co...?

Odpowiedział, nie używając słów. Objął ją i poprowadził pod najbliższe drzewo. Tutaj było zupełnie ciemno. Jane oparła się plecami o gruby pień.

- Śliczna Jane - szepnął, przytulając twarz do jej włosów.

- Tak słodko pachniesz.

Rozpiął jej płaszcz, obie dłonie położył na sprężystych piersiach. Nie stawiała sprzeciwu, pragnąc, by zrobił jeszcze więcej. Odchyliła się mocno do tyłu, chcąc silniej poczuć presję jego rąk. Samuel jęknął i sięgnął niżej, podciągając sukienkę Jane.

- Nie... tutaj...

- Pragnę cię tylko dotykać - szepnął. - Pozwól dać ci rozkosz. Wiesz, że umiem to zrobić.

Dobrze pamiętała, co potrafił, mimo że tak bardzo starała się o tym zapomnieć. Męska ręka znalazła się na jej udzie. Zaczęła żałować, że włożyła takie obcisłe majteczki. Chciała

poczuć dłoń Samuela na nagiej skórze. Jego palce osiągnęły cel i Jane przestała myśleć.

- Właśnie tak, kochanie. Rozsuń nogi. O, tak, właśnie tak - szepnął.

Jane była posłuszna. Pozwoliła, by dotarł wszędzie. Pragnęła tego, a on rytmicznie przesuwiał palcem po najwrażliwszym miejscu jej ciała. Drugą ręką pieścił piersi. Pocałunkami pokrywał twarz.

Jane nie mogła znieść natłoku odczuć. Zapragnęła dotykać Samuela. Sięgnęła dłońmi ku jego włosom, lecz były, jak zwykle, porządnie związane, gdy ona chciała widzieć je rozpuszczone. Nawet wówczas, kiedy wnikał głęboko w jej ciało, miał je zawsze uczesane w kucyk. Marzyła, by zanurzyć dłonie w ich gęstwie i poddać się pocałunkom. Pociągnęła Samuela za włosy.

- O co chodzi? - szepnął.

- Rozwiąż je i całuj mnie.

Uniósł głowę. Nie widziała jego twarzy, lecz poczuła, że przemknął go dreszcz.

- Zabierz mnie do sypialni - powiedział ochryłym głosem, nie przestając pieścić Jane. - Powiedz, że mnie pragniesz. Poproś, bym poszedł z tobą do łóżka, a będę cię całował.

Trzasnęła gałązka.

Samuel działał szybko. Przyłgął do Jane, szepcząc oszałamiające słowa.

- Dostyc tego! - W pobliżu rozległ się znajomy głos. - Wiem, że gdzieś tu jesteście. Widziałem przy bramie samochód. Zaoszczędzicie sobie kłopotów, jeśli sami wyjdziecie.

Jane, przyciśnięta do pnia, nie była w stanie myśleć, ale ten głos... Znała go. Poczuła, że Samuela opuszcza napięcie.

Po chwili skojarzyła ów głos z konkretną osobą. Znalazł ich sierżant, Bob Brown, z miejscowej policji.

W samochodzie panowała ciemność i cisza. Słysząc tylko łagodne dźwięki jazzu. Jane nie odzywała się od chwili, gdy policjant wręczył im mandaty.

- On niczego nie widział - przerwał milczenie Samuel.

- Domyślił się, co tam robiliśmy - odparła, odsuwając się na siedzeniu.

Samuel wiedział, że Jane jest niespokojna, i z trudem nad sobą panował. Miał ją w zasięgu ręki, spragnioną pieścizot i to doprowadzało go do szaleństwa. Gdyby nie policjant, zrobiłby wszystko, o co prosiła, i zasypałby pocałunkami, a potem stałoby się to, czego oboje pragnęli. Wzięłby Jane przy tym drzewie. Tylko co byłoby potem?

Obrzucił ją spojrzeniem i zauważył, że przygryzała wargę. Wyglądała na zmartwioną.

Gdyby ją dzisiaj posiadał, mógłby tego żałować, a ona miałaby powód, by wyprosić go z domu. Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Policjant nie był zaskoczony - powiedział.

- Wiem. Wyglądał na rozbawionego tym, że w takiej sytuacji zastał w parku ludzi w naszym wieku.

- W jakiej sytuacji? Czy coś zaszło między nami?

- Między nami?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Dobrze wiesz, co robisz, podczas gdy ja... Sądzę, że to wszystko było dosyć jednostronne! - rzekła Jane.

- Nie. - Jeszcze mocniej zacisnął palce na kole kierownicy. Poczul ból w dłoni i położył ją na udzie. - Wcale nie było jednostronne - zaprotestował.

- Zrobiłeś to rozmyślnie?

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy planowałem cię uwieść, odpowiedź brzmi: tak. Robiłem, co mogłem.

- Dlaczego?

- Co za pytanie?

Skreśli w ulicę, przy której mieszkała Jane. Jesteśmy prawie w domu, pomyślał z ulgą Samuel. Dziwne, że przyszło mu to do głowy, skoro w mieszkaniu nie mógł jej dotykać, a tak bardzo tego pragnął. Czuł napięcie w całym ciele. Obawiał się, czy znów nie straci nad sobą kontroli. Zaczął żałować złożonej obietnicy.

- No dobrze. Ty też byłeś podniecony - zgodziła się Jane.

- Ale i tak nie mogę przestać myśleć, że całe to uwodzenie mnie jest częścią jakiegoś sekretnego planu. Zawsze starasz się sprawić, bym zachowywała się po twojej myśli.

- Pragnąłem, żebyś zechciała mnie zaprosić do sypialni. To żadna tajemnica.

- Jak ci na imię? - spytała po chwili milczenia.

- Co takiego? Przecież wiesz.

- Chodzi mi o twoje prawdziwe imię.

- To nie ma znaczenia. Ta osoba już dawno nie istnieje.

- Ależ istnieje! W głębi duszy zawsze jesteś tym, kim byłeś. Nie rozumiesz? Nie wiem, gdzie naprawdę chodziłeś do szkoły, jak nazywali się twoi rodzice ani nawet czy w dzieciństwie lubiłeś szpinak. Prosisz, bym ci zaufała, ale nie dopuszczasz mnie do swoich tajemnic. Nie chcesz, bym ujrzała kogoś innego niż Samuela, którego sam wykreowałeś.

Samuela ogarnął strach. Nie wiedział, co zrobić. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się wypełniających go emocji. Podjechał pod dom. Nabrał powietrza w płuca, by się uspokoić.

- Niczego nie pojmujesz. Wszystkie moje dane zostały zniszczone, gdy zacząłem pracować w agencji. Tamten człowiek naprawdę nie istnieje. Muszę być Samuelem.

Nie odpowiedziała, mimo że czekał na jej słowa, pragnąc, by wykazała zrozumienie. Jane wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku. Ten gest ugasił jego wewnętrzny niepokój.

W milczeniu wysiedli z auta i weszli do mieszkania. Przynajmniej Jane mnie nie wyrzuciła, pomyślał Samuel, lecz z pewnością nie zaprosi do sypialni.

Następnego ranka Jane obudziła się wcześnie, mimo że długo w nocy nie mogła zasnąć, świadoma obecności Samuela w sąsiednim pokoju. Był w jej mieszkaniu, lecz nie w jej łóżku. Nic nie stało na przeszkodzie, by wstać, przejść przez pokój i wypowiedzieć jego imię. Jane miała pewność, że gdyby to zrobiła, mógłby się znaleźć w jej sypialni. Właściwie nie wiedziała, dlaczego nie zdecydowała się na taki krok.

Gdy obudziło ją słońce, pomyślała, że jeszcze poleży, może godzinę albo dłużej. Miała ochotę unikać Samuela, choć to było tchórzostwo. Bardzo chciała nabrać trochę odwagi.

Kiedy weszła do pokoju, jej gość siedział na kanapie i wkładał sportowe buty. Przykrycie, pod którym spał, leżało porządnie złożone w rogu pościeli.

Jane miała na sobie różowy szlafrok i cienką, jasnobłękitną koszulę, którą dostała od matki na Gwiazdkę.

- Dzień dobry - powiedziała na powitanie. - Myślałam, że jeszcze śpisz. Zawsze wstajesz tak wcześnie?

- Zazwyczaj. - Zawiązał sznurowadła i wstał. - Lubię rano pobiegać - rzekł.

- Ja też rano wstaję i piję kawę.

- Już ją zaparzyłem. Powinna być gotowa.

- Dziękuję. - Jane nie wiedziała, co ma mówić dalej.

- Należę sobie - zdecydowała i ruszyła do kuchni.

- Jane... Odwróciła się.

- Zawsze lubiłem biegać. Zacząłem to robić jeszcze w szkole. Tamtego roku wiele zaszło w moim życiu. Byłem w trzech różnych domach w trzech różnych częściach miasta.

- W trzech domach? - zdziwiła się.
- To były domy opieki - wyjaśnił i zamilkł na chwilę.
- Nie mów o tym nikomu, bo nie wpisano tego do oficjalnego życiorysu... Samuela Charmaneaux.

Serce Jane zabiło mocniej. A więc wyznał jej prawdę, coś ważnego.

- Długo przebywałeś w tych domach?
- Dorastałem w nich - odparł.
- Rozumiem - powiedziała Jane.

Instykt podszeptał, by nie pytać o nic więcej.

- Lubiłeś szpinak?
- Nie znosiłem go - odparł z uśmiechem.
- Ja też. Co chcesz dziś robić?
- Sądzę, że naprawię tylne drzwi w mieszkaniu Frances Ann. Może nie będzie się już bała włamywaczy, gdy założę nowy zamek. A ty?

- Popracuję w ogrodzie - rzekła, zdając sobie sprawę, że chciałaby z nim robić znacznie więcej. Dziwne, ale wstydziła się mu o tym powiedzieć.

- Zwykle pomagam Francis Ann, bo dokucza jej artretyzm - wyjaśniła. - O drugiej muszę pojechać na spotkanie komitetu miejscowego towarzystwa dobroczynności. Poza tym nie mam planów.

- A więc zobaczymy się, kiedy wrócę - odrzekł Samuel.

Jane lubiła pracę w ogródku. To ją relaksowało i uspokajało, a dzisiaj bardzo potrzebowała ukojenia. Męczyło ją własne niezdecydowanie, miała też jakieś kłopoty z żołądkiem i nie były to mdłości, których doświadczała wcześniej. Uznała, że ból brzucha wiąże się ze stresem. Kiedy pracowała w ogrodzie, Samuel na zapleczu domu naprawiał drzwi, a Frances Ann piekła dla nich w kuchni karmelowe bułeczki. Prawdziwa sielanka, pomyślała, spulchniając ziemię łopatką.

Zastanawiała się nad tym, co zaszło poprzedniego wieczora. Kimkolwiek Samuel był w przeszłości, chciał tu zamieszkać i ożenić się. Jeśli się zgodzę, będzie wiele takich poranków, rozważała w duchu. Może wystarczy zbudować dom i założyć rodzinę, nie zważając na to, czy twój wybranek jest w tobie zakochany.

Mimo wczesnowiosennego chłodu Jane trochę się spociła. Około dziewiątej przed domem zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego Bill z żoną i dziećmi.

Jane odczuła zadowolenie, że wizyta rodziny przerwała jej rozmyślania.

- Witajcie! - zawołała.

Pierwszy podbiegł do niej czteroletni Benji.

- Ja też chcę kopać - powiedział, wskazując na łopatkę.

- Obawiam się, że nie wszyscy byliby z tego zadowoleni - zauważyła Jane. - Lepiej nie będę się z tobą witać, Ewo, bo mam brudne ręce. Mama namówiła was na nocleg, byście nie jechali po ciemku?

- Tak się o nas bała, jakbyśmy musieli pojechać tysiąc kilometrów. - Bill potrząsnął głową.

- Pewnie chciała w ten sposób pobyc dłużej z dziećmi - zauważyła Ewa.

- Pomyśleliśmy, że przed wyjazdem miło będzie wypić z tobą kawę, ale jeśli jesteś zajęta...

- Nie, nie. - Jane zdjęła rękawiczki. - Skończę później. Pójdę na górę i zaparzę kawę.

- Ja chcę do Samuela - rozległ się cienki głosik. Ewa spróbowała odwieść córeczkę od tego pomysłu.

- Ależ on się ucieszy na widok Anny i Benjiego - zapewniła Jane. - Naprawia tylne drzwi u Frances Ann - dodała z uśmiechem. - Benji, czemu nie zaprowadzisz siostry do Sama?

- Może to nie najlepszy pomysł - mruknął Bill. - Jeśli Samuel nie ma doświadczenia w obchodzeniu się z dziećmi, nie da sobie z nimi rady.

- Nie martw się - odrzekła Jane, wspominając, jak świetnie Samuel rozwiązywał wczoraj łazienkowe problemy małej Anny.

- Słuchaj, zapytam wprost. - Bill zwrócił się do siostry. - Co ty właściwie wiesz o tym człowieku?

- O co ci chodzi?

- Po prostu mam do ciebie kilka pytań. Nie poznałaś go zbyt dokładnie, skoro to wszystko zdarzyło się tak nagle.

Jane westchnęła. Nie miała nastroju do takich rozmów. Bill wyglądał na zatroskanego, a ona miała dość zmartwień.

- Ostrzegałam, byś tego nie robił - rzekła Ewa. - Lecz nie będę powtarzać „a nie mówiłam”. Dzieci, chodźmy przywitać się z Samem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Samuel wkręcał kolejną śrubkę we framugę drzwi, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Zawsze czujny, odwrócił się gwałtownie w chwili, gdy mała Anna zarzucała mu rączki na szyję.

Obok kręcił się jej braciszek bardzo zainteresowany pojemnikiem z narzędziami. Samuel odsunął młotek i obcegi poza zasięg rączek Benjiego. Anna opowiadała o robotach widzianych w telewizji. Chłopczyk pytał, czy może wziąć śrubokręt. Wszystko było takie urocze.

- Zapraszam dzieci na bułeczki - zawołała z kuchni Frances Ann.

Samuel wziął dziewczynkę na ręce.

- Czy zjecie i moje bułeczki? - zażartował. - Od półgodziny czułem ich zapach.

- Są z rodzynkami? - dociekał Benji.

- Witaj, Samuelu! - zawołała Ewa. - Przepraszam za najście. Benji, jeśli ktoś cię częstuje, ładnie podziękuj albo uprzejmie odmów, lecz nie przeprowadzaj śledztwa.

- Mamo, znalazłam Sarniego - zawołała Anna.

- Tak, kochanie.

W ciągu paru minut ustalono, że bułeczki są z rodzynkami i Sam podzielił się nimi z dziećmi. Samuel pomyślał, że za kilka miesięcy będzie miał własne maleństwo, nad którym roztoczy opiekę.

Frances Ann rozczarowała malców, nakazując im mycie rąk przed jedzeniem.

- Fachowo zrobione! - Ewa pochwaliła pracę Samuela.

- Drewno było stare. Nowy zamek niewiele by pomógł, bo włamywacz kopnięciem rozwaliliby całą futrynę. Musiałem wszystko zmienić.

- W domu zawsze jest coś do naprawy - zauważyła żona Billa.

Samuel pomyślał, że to mu się podoba.

- Gdzie Bill? - zapytał.

- Na górze. Denerwuje swoją siostrę - odpowiedziała wesoło Ewa. - Mówiłam mu, żeby się nie wtrącał, ale on woli bawić się w nadopiekuńczego starszego brata.

- O!

Samuel poczuł napięcie, które próbował zamaskować pracą.

- Nie aprobeje pomysłu, bym ożenił się z Jane? - zainteresował się, świadomy, że w swoich planach musi liczyć się ze zdaniem rodziny narzeczonej.

- Nie w tym problem. - Ewa machnęła ręką. - Bill i ja spotykaliśmy się ponad rok, nim się zaręczyliśmy, lecz nasza sytuacja była inna. Moje pierwsze małżeństwo było nieudane, a poza tym bałam się wyjść za człowieka innego wyznania. Moja rodzina nie była tym zachwycona.

- Smithowie chyba dobrze cię przyjęli - powiedział Samuel.

Skoro ta rodzina zaakceptowała kogoś tak różnego od nich jak Ewa, więc może i ja mam szansę, pomyślał, choć zapewne przyszli szwagrowie i teściowa nigdy nie poznają mojej prawdziwej przeszłości.

- To cudowni ludzie. Wystarczyło im, że kochamy się z Billem, a wy z Jane też chyba macie się ku sobie. Ona nie potrafi ukrywać uczuć, prawda? Wystarczy popatrzeć, jak na ciebie spogląda.

Śrubokręt wypadł z ręki Samuela, zadrasnawszy mu lewą dłoń, lecz on nawet tego nie zauważył.

- Ja... - zaczął, nie mogąc uwierzyć, że Jane jest w nim zakochana.

Pewnie Ewa widzi to, co chce widzieć. Jane najwyżej go pragnie. Samuel nie wiedział zbyt wiele o miłości, lecz potrafił dostrzec namiętność.

- Och, skaleczyłeś się! - zawołała Ewa.

- Nic się nie stało - odparł, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

Jeśli Jane jest naprawdę we mnie zakochana, pomyślał, będzie moja. Tylko że zapewne spodziewa się wzajemności, uświadomił sobie z niepokojem. Mógł wiele ofiarować tej dziewczynie, ale nie miłość, bo nie znał tego uczucia.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci tym gadaniem - zaniepokoiła się Ewa.

- Nie.

W końcu to nie była jej wina, że wszystko, co powiedziała, by dodać mu otuchy, dało zupełnie inny efekt.

- Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś - rzekł z uśmiechem. Po chwili wróciła Frances Ann z dziećmi. Posadziła je przy stole i zapytała, czy Ewa nie zjadłaby słodkiej, ciepłej bułeczki.

- Chyba dam się namówić, jeśli osoba uprawniona do zjedzenia tych bułeczek nie ma nic przeciwko temu - zażartowała młoda kobieta, uśmiechając się do Samuela.

Ten oczywiście się zgodził, a Frances Ann obiecała upiec następną porcję, gdyby bułeczek zabrakło.

- Marilee już widzi w tobie zięcia, bracia Jane również cię zaakceptują, kiedy zobaczą, że jesteś dla niej dobry - rzuciła Ewa w drodze do kuchni. - Kiedy zostawiłam Billa z jego siostrą, tłumaczył jej, że za mało o tobie wie. Czy to nie głupie? Wie, ile trzeba. Miłość to może nie wszystko, ale z pewnością jest najważniejsza.

- Oczywiście - odpowiedział spokojnie Samuel, choć wewnątrz wszystko się w nim burzyło.

- Powinieneś opatrzyć tę rękę. Wydaje się trochę sztywna - zauważyła Ewa.

Sztywność brała się z rany zadanej nożem, a nie ze skaleczenia śrubokrętem. Przykręcając kolejną śrubkę, Samuel tak się ustawił, by żona Billa nie mogła widzieć jego dłoni.

- Zajmę się tym, kiedy skończę - obiecał.

- Rozumiem, wolisz powierzyć opatrzenie rany Jane. Bill uwielbia, kiedy się o niego troszczę.

- Jane będzie kaprysić, że znów okazałem się niezgrabny w pracy z narzędziami - rzekł z uśmiechem Samuel.

Nie mogę ofiarować jej miłości, pomyślał, kończąc naprawę drzwi, ale dałem jej dziecko. To musi wystarczyć.

Resztę dnia Jane spędziła na codziennych zajęciach. Pozornie wydawało się, że jak zwykle porusza się po Atherton. W rzeczywistości przez cały czas towarzyszył jej niepokój.

Razem z Samuelem kupiła cebulki żonkili. Kiedy je sadziła, on przycinał gałąź przy oknie. Wspólnie uprzątnęli podjazd i zjedli lunch. Sporo rozmawiali. Samuel chciał dowiedzieć się wszystkiego o Atherton.

Nie pomagało, że jej nie dotykał. Kiedy byli w mieszkaniu, dotrzymywał obietnicy i to nie była jego wina, że ona tak reagowała na mimowolne muśnięcia. Odgarnął jej włosy z twarzy, bo miała brudne ręce po sadzeniu kwiatów, a ona od razu poczuła, że puls uderza jej szybciej. Gdy wziął ją za rękę u ogrodnika, od razu pomyślała o innych miejscach, których dotykała jego dłoń. Kiedy wyjeżdżała na spotkanie organizacji charytatywnej, pocałował ją na pożegnanie. To był taki niewinny pocałunek, jakich dziesiątki daje się na do widzenia, lecz kiedy odsunął głowę, Jane ciągle czuła na wargach smak jego ust. Przesunął smukłymi palcami po jej szyi, aż zadrżała.

- Czy mówiłem już, jak lubię twoje włosy? - zamruczał.

- N...nie.

Kiedy tak patrzył, gotowa była uwierzyć we wszystko, co słyszała, a nawet w to, że te dotknięcia nie były częścią przemyślanej gry, którą zaplanował, chcąc grać rolę narzeczonego. Niewiele brakowało, a uwierzyłyby, że nie mógł się od tego powstrzymać.

- Są gęste - przyznała.

- Są jak ty. Miękkie w dotyku i mocne - powiedział, wędrując palcami po jej szyi.

Jane przypuszczała, że teraz naprawdę ją pocałuje, a jednak nie zrobił tego.

- Może po zebraniu poszlibyśmy do kina albo na kolację - zaproponował.

Jane poczuła rozczarowanie.

- Ja... - Odchrząknęła. - A co grają?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Nie planowałem oglądać filmu. Sądziłem, że usiądziemy obok siebie w ostatnim rzędzie i skorzystamy z okazji, by znowu być blisko - powiedział z obiecującym uśmiechem. - Porozmawiamy o tym, gdy po ciebie przyjadę. Skończycie zebranie do czwartej?

Skinęła głową.

- Przyjadę - powtórzył.

Jane wyszła niepewna, czy traktować to jak obietnicę, czy jak groźbę.

Noc była chłodna. Niebo lśniło od gwiazd. We wnętrzu dżipa rozlegała się muzyka jazzowa. Jane oparta wygodnie na siedzeniu z przyjemnością słuchała rytmicznych dźwięków. Wracali z kolacji w pobliskim miasteczku. Wcześniej spędzili dwie godziny w ciemnej sali kinowej, zachowując się jak nastolatki.

Spojrzała ukradkiem na Samuela. Dobrze wyglądał w ciemnym stroju. Czarne dżinsy i czarna, rozpięta pod szyją koszula świetnie komponowały się z ciemnym płaszczem.

W kinie pieścił jej szyję i trzymał za rękę, dotykał takich miejsc, których nie powinno się dotykać w publicznym miejscu. Na szczęście nikt obok nich nie siedział. Podczas całej projekcji ani razu jej nie pocałował. Właściwie powinna być z tego zadowolona, a jednak nie czuła żadnej satysfakcji. Zastanawiała się, co będzie, kiedy wróci do domu.

Po chwili uznała, że lepiej rozpocząć jakąś rozmowę.

- Niewiele wiem o jazzie. Kto teraz gra? - zapytała.

- Chuck Mangione. To stare nagranie, lecz bardzo je lubię. Melodia nosi tytuł „Lullabye”. Podoba ci się? Niektórzy lubią piosenki, ale ja wolę wersje instrumentalne.

- Jest piękna, bardzo nastrojowa. - Charakterystyczna dla ciebie, dodała w myślach. - Jak doszło do tego, że zacząłeś interesować się jazzem?

- Jako student college'u pracowałem w klubie jazzowym. Prowadziłem tam bar.

- Grałeś kiedyś w zespole?

- Nie. Mam dobry słuch, ale nigdy nie chciałem występować. Wołałem słuchać. Jazz kryje w sobie dźwięki nocy, wiatru, wszystko, co nie wymaga słów.

Czy istniał w jego duszy jakiś mroczny obszar? Uczucia skrywane tak głęboko, że wydobywały się na powierzchnię tylko dzięki dźwiękom saksofonu?

- Nie przyniosłeś żadnych nagrań do mojego mieszkania, a masz ich niezłą kolekcję. Nie chcesz ich słuchać? - Jane zaryzykowała kolejne pytanie.

- Nie zamierzałem niczego przyspieszać. Przez większość czasu nie chciałaś pozwolić, bym został.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, że słuchasz swojej ulubionej muzyki.

Szczególnie jeśli tyle dla ciebie znaczy, pomyślała i przypomniała sobie, co mówił o pracy w czasie studiów.

- To zajęcie w klubie jazzowym to prawda czy część oficjalnego życiorysu?

- Staraliśmy się dostosować do siebie obie wersje, o ile to było możliwe.

Co to znaczy, zastanowiła się. Pracował w tym klubie? Chodził do college'u?

- Mogę o tym głośno mówić? - zapytała. Skinął głową.

- Według oficjalnych danych skończyłem college Eugene'a Langa w Nowym Jorku. To dobra szkoła o niekonwencjonalnym profilu, świetna dla tych, którzy interesują się historią. Dostałem stypendium naukowe i magisterium robiłem w Kalifornii.

- Pewnie mi opowiesz, jak tam wyglądało centrum studenckie i dokąd jeździłeś na wakacje. Przywiązujesz wagę do szczegółów, tylko żaden nie jest prawdziwy. Gdzie się naprawdę uczyłeś?

- Tego nie mogę powiedzieć - odparł i widać było, jak napięły się mu mięśnie twarzy.

- Nie rozumiem, dlaczego. Przecież nie wkroczę w zastrzeżone rejony, jeśli się dowiem, jaką ukończyłeś szkołę.

- To nie jest zabawa - odparł ostrzejszym tonem. - Nie chcę ryzykować życia, by zaspokoić twoją ciekawość.

- Jak możesz ryzykować życia?

- Muszę być człowiekiem, który skończył szkołę Eugene'a Langa, a nie kimś, kto już nie istnieje.

- Czego się obawiasz? Że ktoś z dawnych czasów znajdzie cię tutaj? Przecież nawet agenci CIA odchodząc na emeryturę, nie zmieniają nazwisk. Niektórzy napisali książki.

- Przestań. Znam się na tym lepiej niż ty.

Bardzo się od siebie różnili. Jane zdawała sobie sprawę, że ogromny obszar życia Samuela na zawsze pozostanie dla niej tajemnicą.

- Nie rozumiem, czemu mnie wybrałeś, gdy zdecydowałeś się zaczynać nowe życie. Trzeba było znaleźć kobietę, która nie znałaby innej historii poza profesorską i nie zadawałaby pytań.

- Ale ty spodziewasz się mojego dziecka.

Jane poczuła ucisk w gardle. A więc dlatego chciał się z nią ożenić. To rzeczywiście dobry powód.

- Nie wiedziałeś o dziecku, kiedy tu przyjechałeś - odezwała się po chwili milczenia.

- Nie miałem pewności, ale istniała taka możliwość. Chciałem skorzystać z szansy. Kiedy przyjechałem do tego miasteczka, przekonałem się, że chcę w nim zostać.

- Tak ci się spodobało Atherton? - spytała, gdy podjeżdżali pod dom.

- Jest doskonałe - odrzekł, wyłączając silnik. - Wszystko mi tu odpowiada. Ludzie, domy, park, w którym byliśmy, twoja rodzina. Nie przeszkadzają mi spory twoich braci, bo oni naprawdę kochają swoich bliskich. Podoba mi się podejście twojej matki do wnuków i sądzę, że wszyscy tutaj po pewnym czasie mnie też zaakceptują.

Jane wiedziała, że właśnie tego pragnął. Domu, rodziny. Mogła mu to ofiarować. Wystarczyło zgodzić się na ślub bez pytania o prawdziwe imię.

- Już cię zaakceptowali. To znaczy zaakceptują, jeżeli...

- Ledwie się powstrzymała od wyrażenia zgody na wszystko, o co prosił. - Już późno, chodźmy do mieszkania - powiedziała tylko.

Wysiadła szybko z wozu, lecz Samuel położył dłoń na jej ramieniu, nim doszła do schodów. Chwycił ją obiema rękami, jakby w obawie, że mu ucieknie.

- Lubię twoje miasto i rodzinę, ale ciebie pragnę - rzekł.

- A to duża różnica.

Przytulił ją tak, że poczuła ciepło i twardość jego ciała. Nie byli jeszcze w mieszkaniu, więc Samuela nie obowiązywała obietnica. Wypełniało go pożądanie. Jane zapragnęła przedłużyć tę chwilę bliskości. Pomyślała o kilku pocałunkach na dobranoc, które nie wydawały się ryzykowne.

Kiedy Samuel pochylił głowę, rozchyliła wargi, ale on tylko musnął ustami jej policzek. Może potrzebował dodatkowego bodźca. Zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła do niego całym ciałem.

- Jane - szepnął. - Nie będę cię do niczego zmuszał. Tym razem chcę być zaproszony do sypialni.

- Za szybko działasz - odezwała się drżącym głosem.

- Za szybko? - zdziwił się Samuel. - Powiedziałbym, że wykazałem wiele cierpliwości. Nosisz moje dziecko. Wiem, jak to jest znaleźć się w twoim ciele, pamiętam, jak wyglądasz, przeżywając orgazm.

Jane przestała zastanawiać się nad ryzykiem. Zapragnęła jeszcze raz być z mężczyzną, z którym kochała się w dżungli.

- Wtedy nazywałeś się John i nie nosiłeś tego. - Zdjęła mu okulary.

- Co robisz?

- Nie chcę, byś je miał na nosie, kiedy cię całuję - odparła, ujmując w dłonie głowę Samuela.

Było jej niewygodnie, bo musiała trzymać okulary. Samuel stał nieporuszony, ale jej pragnął, nawet jeśli nie ułatwiał teraz sytuacji.

Powoli schylił głowę. Jane wspięła się na palce, gotowa spotkać jego usta w pół drogi. Nagle wyprostował się, mimo że Jane wydała jęk rozczarowania. Po chwili jednak znowu się pochylił, jakby ulegał własnym żądzom, a nie woli spragnionej pieszczot kobiety. Tylko że nie zrobił tego po to, by pocałować, lecz szepnąć Jane coś do ucha,

- Ktoś tu jest - usłyszała i szeroko otworzyła oczy, a Samuel wcisnął jej w rękę kluczyki od samochodu.

- Wsiądź do dżipa i zamknij drzwi - powiedział cicho, odebrał jej swoje okulary i zniknął.

Jane stała i patrzyła za nim w ciemnościach. Zaraz pomyślała o włamywaczach, o których wspominała Frances Ann. Z wrażenia nie była w stanie się poruszyć. Przez głowę przemknęła jej myśl, że być może profesor w okularach i tajemniczy bojownik stanowią jedność. A jeśli Samuel, nie mogąc wyznać prawdy, chciał po prostu pokazać, jakim jest człowiekiem? Tymczasem ona nie potrafiła zaufać temu, co widziała lub... czuła. Zrozumiała w końcu, że mężczyzna, w którym się zakochała, nie był iluzją.

Od strony domu dobiegł trzask gałęzi. Jane ogarnął strach, lecz nie mogła już schronić się do dżipa. Słyszała, że ktoś biegł w jej kierunku. Samuel nie zwykł czynić takiego hałasu. W świetle lampy zapalonej na ganku dostrzegła dwa cienie. Po chwili jeden padł na ziemię.

- Samuel! - krzyknęła i ruszyła do przodu.

- Mówiłem, żebyś siedziała w dżipie - odezwał się Samuel, przyklękając nad leżącym.

- Nie było czasu - odparła, podchodząc bliżej. - Złapałeś go? Czy on...

- Żyje - odpowiedział. - Idź, powiedz Frances Ann, żeby wezwała policję. Złapałem włamywacza.

Policja przyjechała bardzo szybko. Oto kolejny powód, by zamieszkać w małym miasteczku, pomyślał Samuel, spoglądając na radiowóz oddalający się z potencjalnym włamywaczem na tylnym siedzeniu. Stróże porządku nie notowali tu zbyt wielu przestępstw. Udaremnienie włamania było jednym z najbardziej interesujących zdarzeń ostatnich dni.

- Ależ to podniecające - skomentowała Frances Ann. Miała na sobie bluzkę ozdobioną różowymi, zielonymi i czerwonymi kokardkami oraz różowe papiloty na głowie.

- Nikt nie będzie nas już więcej niepokoił - zapewnił starszą panią Samuel.

- Wiem. Jesteś wspaniały, naprawdę wspaniały! - Staruszka poklepała go po ramieniu.

Samuel poczuł zadowolenie, że ktoś tak o nim myśli. Jane zachowywała się dziwnie, od chwili gdy zobaczyła powalonego intruza. Nie odzywała się, a po przesłuchaniu policyjnym szybko wróciła do mieszkania.

- Policjanci byli tacy mili - zachwycała się Frances Ann. - Myślę, że czuli się winni. Nikt z nich mi nie wierzył, kiedy mówiłam, że ktoś się kręci wokół domu, a teraz musieli uwierzyć, prawda?

- Tak. - Samuel postanowił nie mówić gospodyni, co usłyszał od jednego z policjantów.

Młody przestępca był notowanym przez policję narkomanem, który potrafił podłączać się do policyjnej sieci telefonicznej i wykorzystywał to przy planowaniu włamań. Musiał zauważyć, że staruszka po wielekroć dzwoniła na policję, i uznał, że nikt nie zareaguje na jej kolejny telefon.

- Powinniśmy chyba wrócić do domu - zaproponował Samuel. - Wiem, że to wszystko wydaje się fascynujące, ale chciałbym nieco uspokoić nerwy, a nie mogę, póki panią widzę.

Frances Ann zachichotała jak pensjonarka.

- Rozumiem, że chcesz sprawdzić, jak miewa się Jane. Wyglądała na przejętą.

- Właśnie.

Gospodyni pozwoliła odprowadzić się do drzwi. Wchodząc po schodach, Samuel zastanawiał się, czy słowo „wstrząśnięta” lepiej opisuje stan Jane niż „przerażona”. Od

razu zapytała o włamywacza, kiedy pomyślała, że mógł zostać zabity, a nie tylko ogluszony. Miała powód zakładać, że Samuel Charmaneaux potrafi zabijać. Odetchnął głęboko, by się uspokoić. Musiał zapukać do mieszkania, bo nie miał kluczy. Dlaczego jeszcze mu ich nie dała?

- Otwarte - usłyszał głos Jane.

- Co ty wyrabiasz? - warknął po wejściu do mieszkania. - Zostawiasz otwarte drzwi? Właśnie przed chwilą miałaś dowód, że trzeba dbać o swoje bezpieczeństwo.

Z jakichś powodów w salonie zgaszono światło. Jane zapaliła lampę tylko w sypialni. Stała teraz obok kanapy w seledynowej, cienkiej piżamie. Samuel oniemiał na ten widok.

- Wiedząc, że na zewnątrz są policjanci i ty, nie musiałam zamykać drzwi - rzekła Jane.

Samuel pomyślał, że nie powinna mu się pokazywać w piżamie, szczególnie że cienki materiał tak kusząco podkreślał jej kształty. Znowu obudziły się w nim żądze. Ledwie się powstrzymał, by nie podejść bliżej i nie udowodnić, jak nierozważnie się zachowała.

- Gdzie twój szlafrok? - zapytał.

- W sypialni - odpowiedziała. - Jesteś w dziwnym nastroju - zauważyła.

- To ty zachowujesz się dziwnie - mruknął, usłyszawszy, że w mieszkaniu rozlega się muzyka. - Jeśli chcesz, bym dotrzymał obietnicy, lepiej nałóż szlafrok.

- Nie dbam o to.

A powinna! Samuel zbliżył się o kilka kroków.

- Wiesz, że nie zrobiłem krzywdy temu człowiekowi... - zaczął.

- Ach, masz na myśli włamywacza. Tak, wiem - przyznała, nabierając tchu. - Jest coś ważnego, o co chciałabym cię zapytać.

Znowu pytania, pomyślał zdesperowany. Ona stanowczo za dużo chce wiedzieć.

- Jak bardzo potrzebujesz okularów?

Dotknął ręką oprawki, zdumiony treścią pytania. Przypomniawszy sobie, że zdjęła mu okulary, gdy chciała go pocałować.

- Jeśli masz coś przeciwko okularom, wróć do szkieł kontaktowych.

- Nie o to chodzi, że ich nie lubię, ale nosiłeś je, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy w autobusie. Potem się ich pozbyłeś, więc sądziłam, że stanowią część maskującej gry.

- Tak też było - przyznał, zaskoczony tematem rozmowy.
- Jestem w niewielkim stopniu dalekowidzem. Zwykle nosiłem szkła kontaktowe, bo przy mojej profesji okulary byłyby niebezpieczne.

- A więc na San Tomas nakładałeś fałszywe okulary na szkła kontaktowe, a teraz nosisz prawdziwe okulary?

Skinął głową, nie mając pojęcia, do czego prowadzi ta dziwaczna rozmowa. Jane stała teraz tak blisko, że czuł jej zapach.

- Jane - zaczął schrypniętym głosem - naprawdę powinnaś pójść do sypialni.

- No cóż... prawdę mówiąc, nie chcę iść tam sama.

- Boisz się włamywaczy?

- Próbuję zaprosić cię do łóżka, ale mi to utrudniasz. Samuel zaniemówił z wrażenia. Brakowało mu słów.

W milczeniu zdjął okulary i położył na stoliku. Jane popatrzyła nań przez chwilę, a zrozumiawszy jego gest, wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Serce Jane biło szybko pod wpływem nerwowego podniecenia. Nigdy przedtem nie uwodziła mężczyzny. Podczas gdy policjanci przesłuchiwali Samuela, błyskawicznie wzięła prysznic i włożyła cienką piżamę. Miała tylko jeden nocny strój, który wydawał się odpowiedni na taką okazję. Potem zgasła wszystkie światła oprócz nocnej lampy w sypialni i włączyła muzykę. Nie miała pewności, co zrobić z łóżkiem.

Rano posłała je jak zwykle, lecz teraz pomyślała, że takie łóżko nie wygląda zachęcająco. Wygląd całej sypialni nie sprzyjał uwodzeniu mężczyzn. Ale nie było czasu na większe zmiany. Częściowo odchyliła kołdrę, lecz nie była zadowolona z efektu.

Właśnie rozważała, co robić dalej, gdy do drzwi zapukał Samuel. Pomyślała, że mężczyzna ogarnięty żądzami nie powinien zwracać uwagi na pokój, tymczasem teraz ten człowiek stał, trzymając ją za rękę i rozglądał się jak zauroczony. Uznała, że raczej na nią powinien spoglądać w ten sposób, a nie na zwykłą sypialnię.

Gdy wreszcie spojrział na nią, wyczytała czułość w jego spojrzeniu.

- Twój pokój jest taki jak ty - rzekł, ujmując jej twarz w dłonie. - Uroczy, przytulny i... solidny.

- Solidny? - Jane skrzywiła się na myśl, że jej wysiłki, by stworzyć romantyczną atmosferę, poszły na marne.

- Pamiętam, jak bez narzekania maszerowałaś przez dżunglę z krwawiącą nogą - powiedział, przesuwając kciukami po jej policzkach. - Zawsze robisz to, co należy, i za to cię podziwiam, ale nigdy nie widziałem kobiety, która potrafiłaby jednocześnie być tak delikatna i silna. To brzmi lepiej, pomyślała uradowana Jane.

- Narzekałam na węże - przypomniała.

- Tak. - Samuel się uśmiechnął. - Ale dopiero wtedy, gdy byliśmy bezpieczni. Powtarzam, zawsze robisz to, co trzeba zrobić.

Jane przypomniała sobie, co zaszło później, gdy śmieli się jak wariaci, a on położył jej dłonie na ramionach. Wydawało się, że Samuel pomyślał o tym samym.

- Będę bardzo czuły dzisiejszej nocy - obiecał, całując ją w czoło. - Zapewniam cię, iż nie pożałujesz, że zaprosiłaś mnie do sypialni.

Delikatnie dotknął wargami jej ust i zanurzył dłonie we włosach. Gdy próbowała odwzajemnić pocałunek, odchylił się i zapytał:

- Czy wiesz, jak działa na mnie seledynowy kolor? - Uśmiechnął się przy tym, sięgając do pierwszego guzika piżamy. - Wyglądasz w nim ekscytująco - powiedział, rozpinając kolejny. - Ale myślę, że jeszcze lepiej będziesz się prezentować bez niczego.

Męskie palce poruszały się sprawnie i delikatnie. Nie dotykały ciała Jane. Jej sutki nabrzmiwały pragnieniem, lecz Samuel nawet ich nie musnął.

Po uporaniu się z guzikami rozsunął poły piżamy i spojrzał Jane w oczy.

- Nigdy nie widziałem cię nagiej, a dziś chcę zobaczyć - powiedział.

Jane osłabła z wrażenia.

- Ja też - wyznała, zdejmując mu marynarkę.

Pozwolił jej na to, a gdy sięgnęła do guzików koszuli, ujął ją za rękę.

- Masz takie śliczne piersi - rzekł, uwolnił jej dłonie i zaczął kciukami pieścić sutki, aż zadrżała z rozkoszy.

- Masz zamiar mnie pocałować? - wyszeptała.

Widziała, jak Samuela przeniknął dreszcz emocji. Pochylił się i... świat nagle zawirował. Jane objęła go mocno za szyję.

Pod przymkniętymi powiekami pojawiła się tęcza kolorów, gdy ją wreszcie całował. Samuel trwał tak przez chwilę, jakby niczego więcej nie pragnął. Potem, nie odrywając ust od jej warg, przeniósł ją na łóżko. Oboje poddali się ogarniającej ich ekstazie.

O wiele później leżała w jego objęciach w środku nocy. Za pierwszym razem kochali się w ciemnościach. Wszystko odbywało się znacznie wolniej. Takie zbliżenie działało na zmysły Jane. Bardzo jej odpowiadało. Ale cieszyła się, gdy za drugim razem zapalili światło. Samuel stanowczo zbyt długo pozostawał w mroku.

Myślała, że teraz zasnął wtulony w jej ciało. Oddychał spokojnie, nie poruszał się, nic nie mówił. Jednak nie była pewna, czy śpi. Ciągle ją zaskakiwał. Może się obudził i sprawiało mu zadowolenie, że ona dotykała jego pleców. Może właśnie to lubił.

Jane przekonała się, że bardzo jej pragnął. Być może nigdy nie wypowie słów miłości, lecz ona już się z tym pogodziła. Podobnie jak z powodami, dla których chciał się ożenić. Chodziło mu o rodzinę, dom, dziecko. Jej wystarczało, że Samuel chce z nią zostać.

Wszystko układało się jak najlepiej. Samuel czuł satysfakcję, gdy podjeżdżał pod dom w czwartek wieczorem, Jane jeszcze nie wróciła, lecz to go nie niepokoiło. Upowiedziała, że zebranie może się przeciągnąć.

W ostatniej chwili pojawiło się wiele spraw, które trzeba było załatwić przed piątkowym balem, więc Jane, jako sekretarz komitetu organizacyjnego, miała wiele pracy.

Samuel był zadowolony, że przyjechał pierwszy. Z miłym uczuciem zadomowienia włożył klucz do zamka. Jane dała mu klucze w niedzielę, a więc nie zamierzała się go pozbywać z domu. Otwierając drzwi, pomyślał o wielu innych kluczach do mieszkań rodzin zastępczych, które nosił w kieszeni.

Niektórzy z opiekunów byli mili i starali się stworzyć mu domową atmosferę, ale jedna rodzina była okropna. Wspominał ją jak koszmar gorszy od tego, jaki przeżywał, mieszkając z rodzoną matką. Wszystkie te rodziny dawały mu tylko tymczasowe schronienie. Samuel nauczył się adaptować do różnych okoliczności i pokazywać ludziom tylko to, co chciał uzewnętrznic. Uczucia trzymał w ukryciu.

Teraz było inaczej. Zamierzał założyć z Jane prawdziwą rodzinę. Zaczaj już nawet robić zakupy. Nie miał zbyt dużych zdolności kulinarnych, lecz Betty, jedna z jego zastępczych matek, nauczyła go paru rzeczy. Potrafił przyrządzić choćby gulasz.

Dwie godziny później mięso i jarzyny dusiły się w garnku, a Samuel zajął się przygotowywaniem sałaty, gdy pojawiła się Jane.

- Pomyślałem, że teraz ja powinienem coś ugotować - powiedział, osuszając liście sałaty na papierowym ręczniku.

- Dobry Boże, a więc umiesz także gotować! - zawołała Jane z podziwem. - Mężczyzna, który jest równie dobry w kuchni jak w sypialni - dodała z rumieńcem na twarzy.

Samuel odwrócił się i pocałował ją na powitanie, choć żaden pocałunek nie wydawał się mu teraz bezpieczny, bo nie był w stanie przewidzieć, czy nie ogarnie go nagła żądza. Jane rozchyliła wargi i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Co będziemy jedli? - spytała z uśmiechem.

- Możemy to nazwać boeuf Bourguignon, jeśli chcesz - rzekł, uwalniając się z jej objęć, by sięgnąć po kieliszki do wina. - Ale tak naprawdę to gulasz wołowy.

- Jeśli jest równie smaczny jak aromatyczny, to chyba cię u siebie zatrzymam.

- Jak przebiegło zebranie? - spytał zadowolony z komplementu.

- Większość wystąpień była zupełnie niepotrzebna. Niektórzy obawiali się zmian pogody. Ostatnia prognoza długoterminowa przewiduje burzę na sobotę i jeśli będzie bardzo wiało, sporo ludzi zostanie w domu. Ale komitet organizacyjny nic na to nie poradzi.

- Może tylko głośno narzekać - dodał Samuel, stawiając na stole butelkę, którą wcześniej kupił.

Zwykle pił wino do gulaszu, lecz skoro Jane nie mogła teraz używać alkoholu, zaopatrzył się w butelkę musującego soku winogronowego.

- Tak - przyznała Jane, biorąc kieliszek. - Co będziemy świętować?

- Odbyłem dziś pierwszą rozmowę na temat pracy w college'u.

Jane objęła Samuela.

- To wspaniale! - ucieszyła się. - Jak ci poszło? Nie, to głupie pytanie. Nie wznosilibyśmy toastu, gdyby ci się nie powiodło, prawda?

Samuel otoczył ją ramieniem, trzymając w drugiej ręce kieliszek. Wszystko układało się lepiej, niż przypuszczał. Jane cieszyła się z jego sukcesu.

- Udało się - przyznał. - Wypijesz ze mną? - Podsunął jej własny kieliszek, a gdy spełniła toast, napił się z niego, dotykając wargami tego samego miejsca co ona.

To był bardzo romantyczny gest. Dzisiejszego wieczora Samuel zamierzał być niezwykle romantyczny. Po toaście pocałował Jane i odstawił kieliszek.

- Zaproszą mnie na kolejną rozmowę. Na razie nie dostałem pracy.

- Ale ją dostaniesz - zapewniła go. - Potrafisz robić dobre wrażenie.

Ucieszył się, że Jane tak myśli. Odwrócił się do blatu kuchennego, by skończyć przygotowywanie sałaty.

- Pomóc ci? - zapytała.

- Możesz zająć się sosem - rzekł, a potem niespodzianie dla samego siebie zapytał: - Nie ciekawi cię, czy mam odpowiednie kwalifikacje do pracy w szkole?

- Nie wybrałbyś takiej wersji życiorysu, gdybyś nie był w stanie jej jakoś udokumentować. Może nie wszystko o tobie wiem, lecz z pewnością nie jesteś głupi.

Samuel rozdzielił sałatę do dwóch naczyń i znowu sam siebie zaskoczył, mówiąc:

- Naprawdę przez parę lat studiowałem w college'u Langa.

Robił to pod innym nazwiskiem i nie ukończył tej prywatnej szkoły, bo skończyły się pieniądze ze stypendium. Licencjat zdobył już na państwowej uczelni.

Jane skinęła głową.

- A więc znasz tamtejszych studentów oraz profesorów i możesz o nich bez obaw mówić.

Rzeczywiście tak było, więc czemu chciał o tym dyskutować?

- Nie zrobiłem magisterium, lecz posiadam wiedzę. Zawsze interesowałem się historią, tylko nie zdobyłem stopnia naukowego.

- Niepokoi cię to? - spytała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Żałujesz, że nie skończyłeś studiów?

- Ważne, że mam potrzebne wiadomości - uznał, krojąc starannie pomidory.

- Ale brak ci doświadczenia w kształceniu przyszłych magistrów - zauważyła Jane - i to cię martwi. Luka między tym, kim jesteś, a kim chciałbyś być.

- Nie! - Samuel się zirytował. - Przywykłem do pełnienia różnych ról w życiu.

- Ale teraz winno być inaczej. Sam mi mówiłeś. Wreszcie chcesz być sobą.

Miała rację i to gniewało Samuela. Nie pragnął, by tak jasno zdawała sobie sprawę z jego problemów.

- Czemu nie zapalisz świec? - spytał chłodnym tonem. Przez chwilę nie odpowiedziała, a potem podeszła do stołu.

- Mają być też świece? - spytała z uśmiechem. - Jak świętować to świętować, prawda?

Samuel usłyszał trzask zapalki, a więc Jane spełniła jego życzenie.

- Siadaj - powiedział, stawiając na stole naczynia z sałatą. - Zaraz przyniosę resztę.

- Ja też mam powód do świętowania - przyznała. - Zapisalam się na to szkolenie organizatorów akcji ratunkowych w sytuacjach zagrożenia.

- To dobrze.

- Nie wiem, czemu to zrobiłam - wyznała. - Nie zamierzam robić kariery w tej dziedzinie. Dobrze mi się pracuje w charakterze nauczycielki.

- Mam wrażenie, że nie jesteś pewna trafności własnych decyzji - zauważył Samuel, nakładając gulasz na talerze. - Może wolisz jakiś krótszy kurs? Są przecież szkolenia tego typu dla nauczycieli, a może organizuje coś Czerwony Krzyż?

- Nie, nie interesują mnie inne szkolenia. Początkowo rzeczywiście nie wiedziałam, czemu to robię, ale teraz już wiem. Brałam udział w wielu kursach, choć niektórzy mogli sądzić, że nie mam do tego predyspozycji, jednak nigdy nie uczestniczyłam w takim poważnym szkoleniu i po prostu bardzo chcę je zaliczyć.

Jane była wyraźnie zafascynowana swoim pomysłem, a to cieszyło Samuela.

- Ja też nie składałem ofiar z motyli azteckim bogom, a jednak mogę o tym uczyć, bo posiadam wiedzę na temat rytuałów.

- Naprawdę lubisz historię. Zresztą nie powinnam być zaskoczona po tylu pytaniach, które zadałeś na temat Atherton. Historia to przecież opowieść o korzeniach ludzkości.

Samuelowi zapało oddech. Nawet jego były szef nie zgadłby, skąd się brało jego zainteresowanie historią. Patrick również pasjonował się tą dziedziną wiedzy i wiązało się to z jego fascynacją naukami politycznymi, tyle że pasje ich obu miały to samo podłoże. Jane przedstawiła sedno sprawy w jednym krótkim zdaniu.

- Bardzo smaczne - pochwaliła gulasz. - Jeśli będzie ci przeszkadzał brak magisterium, zawsze możesz je zrobić i zająć się przygotowaniem pracy doktorskiej - kontynuowała temat jego edukacji.

Samuel nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon. Zresztą nie zastanawiał się dotąd nad uzupełnianiem wykształcenia pod nazwiskiem Charmaneaux, bo zbyt pochłaniała go myśl o stabilizacji życiowej.

- To do ciebie - powiedziała Jane. - Jakiś Patrick.

Telefon nie był niespodzianką, choć Patrick nie obiecywał, że zadzwoni w określonym terminie. To, co miał do powiedzenia, również nie zaskoczyło Samuela. Szef jeszcze raz próbował namówić go do powrotu do agencji i ku własnemu zdumieniu, Samuel przez chwilę rozważał taką możliwość.

- Kto to był? - spytała Jane po zakończeniu rozmowy.

- Ktoś, kogo nie znasz - odrzekł, uznając, iż czas przejść do drugiej części wieczoru.

W tym celu sięgnął do kredensu po elegancko zapakowane pudełko.

- Ktoś z twego dawnego życia, prawda?

- Nie mogę o nim z tobą rozmawiać. - Samuel wiedział, że Jane nie oczekiwała takiego zakończenia rozmowy, ale nie

miał ochoty dłużej myśleć o przeszłości i związanych z nią wahaniach.

Położył pudełko przed Jane.

- Dajmy temu spokój - poprosił. - To dla ciebie.
Popatrzyła na prezent, lecz go nie rozpakowała.

- Tęsknisz za przeszłością, za tym, co kiedyś robiłeś?

- zapytała.

- Nie - odparł. - Chcę zacząć życie od nowa. Z tobą.

- Przyklęknął obok krzesła Jane i położył dłoń na jej udzie.

- Nie zamierzasz tego otworzyć?

Jane uśmiechnęła się i zaczęła rozwiązywać kokardę pracownicy zawiązaną po południu przez jej przyjaciółkę, Lizę.

- Och! - zawołała na widok kolorowego, mięciutkiego misia.

- Nawet oczy ma z materiału, więc dziecko ich nie wydlubie i nie połknie - wyjaśnił z dumą Samuel. - Wiem, że nie przywykłaś do myśli o dziecku, ale wierzę, że ją polubisz - dodał niepewnie.

- Tak. - Jane odpowiedziała uśmiechem. - Póki nie trzymałam tego misia w rękach, dziecko nie wydawało mi się realne. To znaczy wiedziałam, że jestem w ciąży, ale nie czułam tego, bo nawet mdłości ustały. Lecz teraz... - Otarła łzy wzruszenia. - Teraz mogę je sobie wyobrazić. Będzie miało twoje niebieskie oczy.

- Nie, twoje. Takie duże i jakby zdziwione - rzekł, sadzając misia na stole i obejmując Jane. - Będzie też miało twój uśmiech - dodał, całując kącik jej warg. - Wyjdź za mnie, proszę.

Tym razem Jane się nie wahała. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

- Tak, tak. Bardzo cię kocham.

Samuel nie poruszył się. Słowa Jane dźwięczały mu w uszach. Ujął jej twarz w dłonie i mocno pocałował. Bardzo jej pragnął i nie mógł powstrzymać żądy. Jane miała na sobie sztruksową sukienkę i obcisłą bieliznę. Samuel, całując ją, jednocześnie podciągał materiał sukienki. Językiem i wargami wyrażał uczucia oraz pragnienia. Gdy sięgnął dłonią pod majteczki, znieruchomiała, lecz nie stawiała oporu. Kiedy jego palce zaczęły pieścić miejsce między udami, Jane rozluźniła się i pieszczotliwie przesunęła dłonią po jego szyi.

Samuel powtarzał w myśli jej słowa. Ręka mu drżała, gdy zsuwał delikatną bieliznę. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, co. Ukląkł i zdjął pantofle Jane, a potem pończochy. Dziewczyna wsparła się na jego plecach, by nie stracić równowagi, gdy pozbywała się dolnych części garderoby.

Wyprostował się. W oczach Jane malowało się pytanie, lecz nie było w nich strachu. Odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował w policzek, a potem w kącik warg. Czuł, jak drżą jej usta.

Stół był mały i zastawiony naczyniami. Nawet gdyby je zdjąć, nie zostałoby dużo miejsca. Błat kuchenny nie wydawał się odpowiedni, więc Samuel chwycił Jane za pośladki i uniósł nieco, a ona instynktownie oplótła go nogami. Było jej dobrze, gdy przycisnął ją do siebie. Jęknął i jeszcze raz pocałował.

Pomyślał o kanapie i już zrobił kilka kroków, gdy Jane przycisnęła się doń mocniej, co obudziło w nim jeszcze gorętszą żądzę.

Jakoś doniósł ją do kanapy, gdzie oboje poddali się szaleństwu zmysłów.

- Jak się czujesz? - zapytał później, gdy zmęczeni leżeli wtuleni w siebie.

- O Boże! Musisz częściej gotować. Gulasz był świetny, lecz deser jeszcze lepszy.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Samuelu... - zaczęła niepewnie. - Jeśli chodzi o to, co powiedziałam...

Pragnął usłyszeć te słowa jeszcze raz. Przenikały go sprzeczne uczucia. Jeszcze nie, pomyślał, jeszcze nie... i przycisnął usta do warg Jane.

- Oto moja odpowiedź - powiedział łagodnie.

W oczach Jane dostrzegł rozczarowanie. Zdawał sobie sprawę, że ją zranił, lecz nic nie mógł na to poradzić. Czuł się zakłopotany.

Późno w nocy Jane obudziła się, nie czując obok siebie obecności Samuela. Spojrzała na zegarek. Było pół do drugiej. Samuel wysunął się z łóżka cicho jak duch, bardzo starając się jej nie obudzić. Słyszała, jak się ubierał i nakładał buty. W końcu cicho zamknął za sobą drzwi.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Odchyliła zasłonę w oknie wychodzącym na ulicę, ale go nie dostrzegła. Dopiero z drugiego zobaczyła, że przygotowuje się do biegu. W oczach Jane pojawiły się łzy.

Wcale nie miała zamiaru wyznawać mu miłości. Słowa same wyrwały się z ust. Było tak dobrze, gdy rozmawiali o codziennych sprawach i gdy podarował jej misia, a potem... Po prostu się przed nim otworzyła. Pospieszyła się z tym wyznaniem.

Od razu wiedziała, że popełniła błąd. Nie rozumiała, czemu Samuel obawiał się miłości. Podejrzewała, iż miało to coś wspólnego z latami jego dzieciństwa, ale nie chciała przedwcześnie zmuszać go do wyznań.

Zaskoczył ją i zdumiał swoją reakcją. To, co zrobił, budziło nadzieję. Domyślała się, że Samuel nie traktuje w ten sposób kobiety, o której miłość nie dba. Musiał coś do niej czuć, skoro zareagował w ten sposób.

Ale teraz biegał w środku nocy. Jane otarła oczy, wmawiając sobie, że wszystko jest w porządku. Samuel

odpowiedział jej namiętnością, choć wcześniej dał do zrozumienia, że nie chce rozmawiać o uczuciach.

I miał zamiar się z nią ożenić. Będzie miała dużo czasu, by go przekonać, że nie ma sensu bać się miłości. Zapowiadał się na dobrego ojca dziecka, które dopiero teraz stawało się realnością dla Jane. Przewracając się w pustym łóżku, powtarzała sobie, że może kiedyś nadejdzie dzień, w którym ten człowiek wyzna jej miłość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co znaczy, że nie jestem w ciąży?

Doktor Madison nie wyglądał na ginekologa. Przypominał dziadka o siwych włosach i miłym uśmiechu. Siedział za biurkiem i przecierał chusteczką okulary.

- Przykro mi, ale jest tak, jak powiedziałem. Rozumiem, że chciałaś mieć dziecko.

Jane nie mogła się z tym pogodzić.

- Przecież test wskazywał coś innego i mój okres... był taki skąpy... Czułam mdłości...

- Masz cystę - usłyszała. - To czasem powoduje mdłości, a czasem, choć rzadko, prowadzi do produkowania hormonów wskazujących na ciążę.

- Na instrukcji testu wyczytałam, że prawie nigdy nie daje fałszywych wskazań, jeśli wszystko przeprowadzi się prawidłowo.

- To rzadkie, ale jednak się zdarza - powtórzył lekarz. - Trzy lata temu miałem podobny przypadek.

Jane przestała słuchać. A więc to cysta, nie dziecko. Położyła rękę na brzuchu i starała się nie rozplakać.

- Będziemy cię leczyć środkami doustnymi zawierającymi dużą dawkę estrogenów. To często skutkuje wchłonięciem cysty przez organizm. Możesz odczuwać pewne skutki uboczne...

- Muszę brać środki antykoncepcyjne? - przerwała.

- Przez trzy miesiące. Potem możesz znowu spróbować.

- Lekarz uśmiechnął się. - Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś zająć w ciążę. To kwestia czasu. Jane czuła jednak, że nie ma czasu.

- Czy twój partner jest z tobą? Nie wydaje mi się, byś mogła sama jechać do domu.

- Nie. Ma spotkanie w sprawie pracy. - Spróbowała się uspokoić.

Samuel chciał z nią przyjechać, lecz gdy zadzwonili z college'u zawiadamiając o terminie następnej rozmowy w sprawie zatrudnienia, sama nalegała, by na nią poszedł.

O Boże, on tak bardzo pragnął dziecka!

Doktor Madison chciał prosić kogoś, by ją odwiózł do domu, lecz Jane wołała wracać sama. Lekarz nie chciał jej puścić, póki się nie uspokoiła.

Po przejechaniu kilkunastu metrów dostała czkawki. Nie płakała, choć kilka razy łzy napływały jej do oczu. Wśród ataków czkawki zastanawiała się, jak o tym powie Samuelowi. Czy musi mu powiedzieć?

Kiedy rano wychodziła do szkoły, wiatr unosił zeszłoroczne liście. Po drodze słuchała prognozy pogody, z której wynikało, że wieczorem nadejdą burze. Teraz wiatr ucichł, a niebo bardzo pociemniało.

Pomyślała, że jeśli nie wyzna Samuelowi prawdy, wtedy on nie odejdzie.

To wydawało się takie proste. Lekarz wspomniał, że cysty nie są groźne, więc mogłaby nie brać środków antykoncepcyjnych i naprawdę zajść w ciążę. Skoro tak często się kochali, nie powinno być z tym problemu. Bardzo pragnęła niebieskookiego dziecka, które już raz sobie wyobraziła.

Nie zdejmując kurtki, poszła do kuchni. Wypiła szklanekę wody, by powstrzymać czkawkę. Musiała się opanować do powrotu Samuela.

- Jane? - usłyszała. - Widziałem cię po drodze, lecz ty mnie nie zauważyłaś. Musiałaś być bardzo zamyślona.

Potrafię zachować spokój, wmawiała sobie Jane, trzymając się za żołądek, bo pierwszy raz od wielu dni poczuła mdłości.

Samuel stał w drzwiach w swoim ciemnozielonym swetrze. Wiatr targał jego kucykiem. W rękę trzymał baloniki i uśmiechał się.

Nie potrafiła go zwodzić. Musiał dowiedzieć się prawdy.

- Samuelu... - zaczęła drżącym głosem, próbując się nie rozpłakać.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, wypuścił z ręki balony i zbliżył się do niej.

- Co się stało?

- Nie będziemy mieli dziecka - wyszeptała. - Pomyliliśmy się.

- Nie? - Samuel nie rozumiał sensu usłyszanych słów. Przecież oczekiwane dziecko decydowało o jego przyszłości, miało związać go z Jane.

- Lekarz powiedział, że mam cystę. Chce, bym przyjmowała teraz środki antykoncepcyjne. Potem możemy znowu próbować. Ale nie musimy czekać, prawda? Możemy spróbować od razu!

- Środki antykoncepcyjne - powtórzył.

Nie chciała jego dziecka! Ale mówiła coś o tym, że spróbują później albo teraz... Tylko że nie było dziecka... Jane już go nie potrzebowała. Samuel opuścił ręce.

- Nie rozumiem, co to znaczy... - Odwrócił się od Jane. Musiał to wszystko przemyśleć. Przecież zawsze potrafił dostosować się do sytuacji.

Ogarnął go żal.

- Tak mi przykro - dobiegł go głos Jane.

Współczuła mu, ale nie był jej teraz potrzebny. Płakała, bo ją zranił. W sercu Samuela kłębiły się różne uczucia. Nie wiedział, co myśleć i co robić.

Zadzwoił telefon.

Poszedł do kuchni, żeby go odebrać. Zanurzył się w cień, słuchając propozycji Patricka. Tym razem potrzebował tego cienia. Gdy odłożył słuchawkę, Jane stała w drzwiach wstrząsana czkawką. Słyszała, co odpowiedział szefowi.

- Wyjeżdżasz? - spytała cicho.

- Teraz tak - odparł, wiedząc, że Patrick wyśle mu bilet na lotnisko w Kansas City.

Umówili się, że jeśli Samuel zdecyduje się wrócić do pracy, pojedzie odebrać ten bilet. Zadanie dotyczyło znanego mu terytorium i nie powinno trwać dłużej niż tydzień.

- Nie rób tego!

Pragnął, by odeszła od drzwi, lecz bał się jej dotknąć.

- Muszę przemyśleć pewne sprawy. To da mi czas. -
Możesz myśleć tutaj.

- Nie.

Nie potrafił myśleć, targany uczuciami. Jane zacisnęła powieki i odeszła od drzwi.

Pakowanie nie zabrało mu dużo czasu. Miał wprawę. Wydawało się, że robi coś złego, czego nie będzie można już cofnąć. To tylko kilka dni, powtarzał sobie. Nie wyjeżdżam na stałe. W ogóle nie wiedział, co mógłby robić na stałe. Całe jego życie wydawało mu się tymczasowe.

- Nie rób tego - poprosiła jeszcze raz Jane. - Nie znosiłeś tamtego życia. Nawet jeśli nie chcesz ze mną zostać, nie powinieneś wracać do przeszłości. Możesz zatrzymać się w Atherton. Pragnąłeś przecież tu się osiedlić.

Samuel desperacko chciał coś zrobić, na czymś się skoncentrować, skryć się w jakimś cieniu.

- Wrócę - mruknął, otwierając drzwi tak, że do mieszkania wdarł się wiatr.

- Jeśli nie możesz zostać dla własnego dobra, zrób to dla mnie. Wiesz, że cię kocham - zawołała Jane.

Zawahał się. Już raz nie umiał nic odrzec w takiej sytuacji. Czuł się schwytyany w pułapkę uczuć.

- Nawet nie wiem, co to znaczy - mruknął i zamknął za sobą drzwi.

Jane nie miała już czerwonych oczu, gdy zadzwoniła matka, lecz okropnie męczyła ją czkawka.

- Czy idę na bal? - powtórzyła matczyne pytanie. Baloniki przyniesione przez Samuela kołysały się pod sufitem.

- Ja nie... Nie... Zupełnie zapomniała o balu.

- Co się stało? - spytała matka, słysząc jej czkawkę. Jane nie była w stanie wyznać, że Samuel ją opuścił, bo nie mogła w to uwierzyć. W głębi duszy żywiła nadzieję, iż jej ukochany za chwilę wróci, by przyznać, że popełnił błąd.

- Zdarzyło się coś nagłego i... Samuel musiał wyjechać.

- Wierzę, że nie stało się nic złego.

- Nie mogę... mówić. Marilee nie dociekała dłużej.

- Jeśli wyjechał, to zrozumiałe, że zostaniesz w domu.

Pogoda się psuje. Ostrzegają przed tornadem.

- Tyle razy... w tym roku już nas ostrzegali.

Jane wiedziała, że organizatorzy balu liczą na jej obecność. Matka oczywiście nie mogła tego zobaczyć, lecz łzy właśnie przestały płynąć jej z oczu, bo uświadomiła sobie, że bez względu na pogodę i trapiące ją smutki musi podołać obowiązkowi.

- Pojadę na bal. Muszę.

Marilee nie popierała tego pomysłu, lecz Jane nie zamierzała dyskutować nad sensownością swojej decyzji i zakończyła rozmowę. Nie była do końca pewna, czemu to robi, ale wiedziała, że powinna pojawić się na balu za pół godziny, więc nie było czasu na rozmyślanie ani płacze.

Wypiła szklanekę wody, by przerwać czkawkę, i pobiegła do sypialni. Wkładając kupioną w zeszłym miesiącu sukienkę, ciągle zadawała sobie pytanie, dlaczego to robi. Wieczór zapowiadał się okropnie. Każdy będzie się dopytywał o Samuela, a ona nie miała pojęcia, co odpowiadać. Trzeba będzie coś wymyślić.

To była długa sukienka z błękitnego jedwabiu z rozcięciami po bokach. Jane nigdy dotąd nie nosiła tak seksownego stroju. Kupiła tę kreację tuż przed wyjazdem na San Tomas. Gdy to

sobie uświadomiła, omal znów się nie rozplakała. Tak bardzo chciała, by Samuel zobaczył, jak dziś wygląda.

Nie, nie mogę dłużej płakać, pomyślała. I tak będę miała podpuchnięte oczy.

Zawsze robisz to, co trzeba, przypomniała sobie słowa Samuela. To właściwie świadczyło o odwadze. Jane czuła się zmęczona myśleniem o swoim tchórzostwie. Teraz należało samotnie udać się na bal i stawić czoło ludzkiej ciekawości, współczuciu oraz dojmującemu poczuciu krzywdy.

Wiatr i deszcz pastwiły się nad dżipem. Nad autostradą szalała burza. Tylko głupiec wyruszałby w podróż w taki wieczór. Samuel zwolnił tempo jazdy, mimo że właściwie powinien się spieszyć, ale nie należało ryzykować.

Zastanawiał się, czy Jane będzie bezpieczna, jadąc na bal podczas nawałnicy. Jak wróci sama do domu? Skrzywił się i spróbował pozbyć się niewygodnych myśli, które bezustannie wracały.

Nie ujechał zbyt daleko w ciągu ostatniej godziny. Ciagle miał w oczach wizerunek bliskiej płaczu Jane. To on doprowadził ją do takiego stanu.

Lepiej jej będzie beze mnie, wmawiał sobie, włączając ulubione nagranie. Obiecał co prawda wrócić, lecz nie przyrzekał, że zostanie. Jane już go nie potrzebowała. Nie spodziewała się dziecka. Wszystkie marzenia okazały się iluzją.

Samuel, mimo wycia wichru, próbował wsłuchiwać się w muzykę. Pokręcił gałką i w dżipie rozległy się tony „Lullabye”. Ostatnio słuchali tego razem z Jane. Muzyka przywróciła wspomnienia.

Boże, tak bardzo pragnął znaleźć własne miejsce w życiu, gdzie się zadomowić. Więc czemu uciekał? W mgnieniu oka uświadomił sobie, że to była właściwie ucieczka. Zachowywał się jak mały chłopiec, a przecież z doświadczenia wiedział, że

przed sobą samym nie da się uciec. Naprawdę chciał zaczynać od nowa? Nie było innego wyboru, jak tylko poświęcić się pracy dla agencji?

Przecież nie mogę wrócić do Jane, pomyślał. Co jej ofiaruję?

Słowa Jane: „Tak bardzo cię kocham” zadźwięczały mu w uszach. Kochała go i pragnęła wzajemności, a on nie wiedział, co znaczy miłość. Naprawdę?

Gwałtowność burzy tak wpłynęła na Samuela, że pofolgował uczuciom. Wszystkie wymknęły się spod kontroli, wypełniły serce i myśli. Oczami wyobraźni zobaczył zalaną łzami twarz Jane w chwili, gdy wyznawała, że nie urodzi dziecka. Przypomnił sobie jej śmiech w autobusie na San Tomas, radość na huśtawce w parku, miękkość skóry pod palcami, odcień koloru oczu...

Pomyślał, że w tym odcieniu kryła się miłość. Zahamował ostrożnie. Droga była śliska, a nie mógł pozwolić sobie teraz na żaden błąd. Jeden już dziś popełnił. Zawrócił auto, postanawiając natychmiast wrócić do Atherton.

Włączył radio, by słyszeć ludzkie głosy, przed którymi dotąd uciekał. Z trudem wychwytywał pojedyncze słowa, jako że burza powodowała zakłócenia.

- Tornado... - mówił spiker. - Nie potwierdzone doniesienia. .. straty... w centrum Atherton.

Boże, Jane! uprzytomnił sobie i dodał gazu.

Deszcz ustał, nim Samuel dojechał do Atherton. Zbliżając się do miasta, widział tylko zwyczajne szkody spowodowane burzą, połamane gałęzie drzew, pojedyncze dachówki zerwane z dachów, w sumie nic poważnego. Lecz w centrum było zupełnie ciemno, a tam właśnie mieścił się budynek, w którym odbywał się bal.

Wydawało się, że tornado nie dotarło do zachodniego krańca miasta, gdzie mieszkała Jane. Tam widać było światła.

Samuel zapragnął, żeby Jane siedziała w domu, lecząc smutek, lecz w głębi duszy wiedział, że było inaczej. Im bardziej pragnął widzieć ją w domu, tym mniejsza wydawała się nadzieja, by okazało się to prawdą. Przecież Jane zawsze postępowała tak, jak trzeba było postąpić.

W centrum musiał znacznie zwolnić. Dwa razy zatrzymywał się, by zapytać o losy budynku, w którym odbywał się bal, lecz powtarzano mu tylko, że tam zniszczenia okazały się największe i wszyscy niepokoją się o ludzi, którzy się stamtąd nie wydostali.

Samuel znał ulice miasteczka. Przystudiował ich układ na mapie, nim przyjechał do Atherton. Teraz już dwukrotnie natknął się na zablokowane przejazdy, w końcu musiał zostawić auto i ruszyć pieszo. Po przejściu kilkunastu metrów zaczął biec. Widział w życiu różne zniszczenia, najczęściej spowodowane ostrzałem lub wybuchami bomb. Te wyglądały inaczej, bo sprawił je kaprys natury. Wywrócone auta tarasowały jezdnie i chodniki, zewsząd zwisały porwane przewody wysokiego napięcia. Nad miastem przewalały się ciemne chmury. Po drodze Samuel natknął się na przewrócone drzewo i czyjaś kanapę wyrzuconą z mieszkania uderzeniem wichru. Trzy domy, stojące jeden za drugim, zostały doszczętnie zniszczone, czwarty pozostał nienaruszony. Kolejny stracił dach.

Wszędzie kręcili się ludzie. Niektórzy byli w szoku, inni próbowali usuwać szkody. Policjanci kierowali rannych do punktów opatrunkowych. Samuel bez przerwy zadawał wszystkim pytania. Nikt nie udzielił mu jednak ostatecznej odpowiedzi. W duchu powtarzał sobie, że Jane nic się nie stało.

W jednym ze zrujnowanych budynków wybuchł pożar. Pojawili się tam strażacy. Tej nocy w mieście bardzo

potrzebni okazali się ludzie umiejący kierować akcją ratunkową.

Samuel biegł coraz szybciej. Gdy zbliżył się do domu, w którym miał odbywać się bal, zobaczył światło. Zatrzymał się. Budynek był nienaruszony, tylko wyleciały zeń wszystkie szyby. Z wnętrza dobywało się przyćmione światło, inne niż elektryczne. Pomyślał, że uruchomiono awaryjny generator. Widać było również ludzi z latarkami. Samuel musiał zwolnić kroku, by przedostać się przez tłum. Po chwili natknął się na starszego mężczyznę w białej koszuli z odznaką Czerwonego Krzyża.

- Szukam kogoś - zwrócił się do niego. - Ona musi tam być...

- Dobrze pan trafił. Właśnie tutaj zbieramy dane o zaginionych i opatrujemy rannych. Mówi pan, że poszukiwana tu była? Na balu? Samuel skinął głową.

- To wszystko w porządku - odrzekł z ulgą rozmówca. - Ludzie znajdujący się wewnątrz nie doznali obrażeń. Zaraz potem Jane zaprzęła nas do pracy.

- Jane?

- Jane Smith - potwierdził starszy pan. - Musi tu gdzieś być. - Wskazał w kierunku otwartych drzwi.

Wokół kłębił się tłum. Niektórzy ludzie płakali. Były wśród nich dzieci. Samuel ostrożnie torował sobie drogę.

Zobaczył Jane, jak stoi w długiej, wieczorowej sukni i wydaje polecenia. Miała włosy w nieładzie, zabrudzony policzek i ciemną smugę na sukience. Gdy na nią patrzył, właśnie uśmiechała się pocieszająco do pary starszusków i kierowała ich do wnętrza budynku, potem zajęła się małą dziewczynką, jednocześnie odpowiadając na pytania innych ludzi.

Żyje! Jest cała i zdrowa! Samuel stał bez ruchu, nie mogąc myśleć. Z emocji nie był w stanie wymówić jej imienia. Uśmiechał się tylko na widok tego, co robiła.

Nawet nie wiedział, kiedy w całym tym zamieszaniu na niego spojrziała. Gdy go dostrzegła, ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Samuel zaczął się zbliżać. Po drodze zorientował się, że ludzie skupieni wokół Jane to ochotnicy słuchający jej poleceń, a częściowo również poszkodowani, którzy poszukiwali tutaj pomocy. Chwilę później znalazł się obok niej.

- Wróciłeś - szepnęła.

- Tak - odparł, pragnąc ją wziąć w ramiona, lecz uznał, że zrobi to, gdy się stąd wydostaną.

Miał zamiar powiedzieć jej tysiące rzeczy.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie. Samuelu, nie mogę...

- Wiem. W czym mam ci pomóc? Co robić?

- Jest wielu rannych. W tym dwóch lekarzy, którzy byli na balu. Nie jesteś budowlańcem, więc nie możesz sprawdzić, czy nie ucierpiała konstrukcja budynku. Ale jesteś silny i opanowany. Ben Oakley zbiera ludzi, by oczyścić dojazd do tego domu. Inaczej nie dostanie się tu pogotowie.

- Znajdę ich. Później po ciebie wrócę.

Pojawił się kolejny przerażony człowiek, próbujący dowiedzieć się czegokolwiek o swojej matce. Jane skierowała go do wnętrza budynku, gdzie zbierano informacje o poszkodowanych, a potem odwróciła się do Samuela.

- Teraz nie mogę rozmawiać - rzekła.

- Chcę ci powiedzieć tylko jedno, nim dołączę do grupy ratowników. Naprawdę mam na imię Danny.

- Co?

- Zanim zostałem Samuelem, nazywałem się Danny - powtórzył, odwrócił się i zniknął w tłumie.

Samuel wyłonił się z ciemności, gdy Jane uporała się wreszcie z nawałem pracy. Było jeszcze wiele do zrobienia, lecz mogli zająć się tym inni. Przybyli nawet ochotnicy z Kansas City. Wszystkich rannych odwieziono do szpitali, bezdomnym zapewniono żywność i koce.

Jane siedziała oparta o ścianę i popijała kawę, która smakowała jej tak wybornie jak nigdy w życiu. Sala balowa wyglądała teraz dziwnie. Na ścianach ciągle wisiały dekoracje, lecz na podłodze spali ludzie. Jane była tak zmęczona, że miała chęć wsunąć się pod jeden z koców. Nie starczało jej sił, by wracać do domu, choć należała do tych szczęśliwców, którzy wciąż go mieli.

Godzinę temu rozmawiała przez telefon z matką, która odchodziła od zmysłów na myśl, że mogło się jej coś stać. Nie przedłużała rozmowy, bo inni też chcieli skorzystać z telefonu, a Marilee miała obok siebie Cherry z dziećmi, więc nie czuła się osamotniona.

Wypiła jeszcze jeden łyk kawy. Nie musiała już obawiać się kofeiny, bo nie była w ciąży. Przymknęła oczy i oparła głowę o ścianę. Nie będę miała dziecka, lecz Samuel wrócił, jak tylko usłyszał o nadejściu tornada, bo chciał mi pomóc, pomyślała.

- Jane!

Drgnęła na dźwięk męskiego głosu, o mało nie wylewając kawy.

- Nie poparz się. - Samuel uspokajająco dotknął jej dłoni.

- Co ci się stało? - spytała, widząc, że jest brudny.

- Trzeba było coś odkopać - wyjaśnił. - Musisz jechać do domu. Jesteś wyczerpana.

- Wróciłeś - powtórzyła.

- Mam tu dżipa. Jesteś zbyt zmęczona, by iść pieszo.

- To podjazd dla karettek pogotowia.

- Zanim ulice zostały dostatecznie oczyszczone, woziłem potrzebujących pomocy swoim dżipem, więc jest jak karetka.

Jane zmrużyła oczy, gdy wychodzili, bo na zewnątrz już świtało. Przed domem stał wóz Samuela z emblematem Czerwonego Krzyża na masce.

Zniszczenia spowodowane tornadem w świetle dnia wyglądały przerażająco.

- Tu jest najgorzej - rzekł Samuel. - Na szczęście nie ma ofiar w ludziach. Tylko jakiś staruszek znajduje się w stanie krytycznym, bo w czasie burzy był na ulicy.

Jane z przerażeniem patrzyła na ruiny domów, w których jeszcze wczoraj mieszkali ludzie. Na ulicy Drogiej kilka jej ukochanych starych drzew wiatr wyrwał z korzeniami. To głupie żałować drzew, gdy niektórzy ze znajomych zostali pozbawieni dachu nad głową, a jednak miała ochotę nad nimi zapłakać.

Drogę do domu przebyli w milczeniu. Jane przymknęła oczy i oparła głowę na podgłówniku. Po pierwsze była bardzo zmęczona, po drogie nie chciała patrzeć na zniszczenia, a po trzecie obok niej siedział Samuel.

Co prawda wrócił, lecz nie wiadomo było, czy zostanie. Jane nie wiedziała, co właśnie czuje, gdy o tym myśli.

Musiała się zdrzemnąć, bo ocknęła się dopiero na głos Samuela.

- Jesteś w domu.

Wysiadła i rozejrzała się dokoła. Wszystko wyglądało tak normalnie, że jej oczy napełniły się łzami. Tylko kilka gałęzi leżało w ogródku, lecz dom stał nienaruszony.

- Zastanawiam się... - zaczęła ochryplym głosem.

- Nad czym?

- Co by się stało, gdybyś nie ściął tej suchej gałęzi. Pewnie wybiłaby okno w kuchni, jak przewidywałeś.

Zrobił, co trzeba, bo tego wymagała rola, którą odgrywał, a może, bo tak należało, pomyślała Jane. Zachował się tak samo jak ja wczoraj.

- Możliwe - zgodził się Samuel. - Musimy porozmawiać - dorzucił.

- Myślę że tak, skoro wróciłeś. Chciałabym wiedzieć, dlaczego. Zamierzasz mieszkać ze mną, jakby nic się nie stało?

- Wiem, że nie mogę. Zawiodłem cię. Powinienem tu być, gdy zbliżało się tornado.

- Tak - przyznała.

- Popełniłem błąd. Już wracałem do Atherton, gdy usłyszałem komunikat o zniszczeniach i... przestraszyłem się.

Zdradził mi swoje prawdziwe imię, przypomniała sobie Jane. To, które miało określać nie istniejącego już człowieka, i wrócił, kiedy usłyszał wiadomość o tornadzie.

A więc dbał o nią, troszczył się. Jane wierzyła w to, lecz pragnęła znaleźć potwierdzenie w słowach.

- Dlaczego wróciłeś? - powtórzyła pytanie.

- Bo... - Zamilkł i przełknął ślinę. - Myślałem, że wiem, co mam powiedzieć, ale nie umiem znaleźć słów i mam niewiele do zaoferowania poza sobą samym. Właściwie nie wiadomo, kim jestem. Ale pragnę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. Proszę, przyjmij mnie z powrotem.

Jane poczuła wewnętrzne ciepło.

- Czy już wiesz, co to jest miłość? - szepnęła.

- O, tak - odpowiedział z przekonaniem. - To ty, Jane. Jane z płaczem rzuciła się mu w ramiona, a on mocno ją przytulił. Śmiała się i płakała wśród pocałunków, którymi pokrywał jej twarz.

- Dam ci dzieci - obiecał. - Nawet gdybyśmy mieli je adoptować. Nie wiem, czy będę dobrym mężem, bo już raz od ciebie uciekłem i możesz przypuszczać, że zrobię to po raz

drugi. Moja ucieczka na pewno się już nie powtórzy, ale może się czasem zdarzyć, że się od ciebie oddalę w sensie psychicznym.

- To nie ma znaczenia - rzekła Jane, ujmując twarz Samuela w dłonie i patrząc mu w oczy.

Zrozumiała, że już nie jest Dannym, lecz w jego wzroku kryło się coś chłopięcego.

- Kochasz mnie? - zapytała.

- K.. .kocham - odparł z wahaniem, jakby mówił nowym językiem.

Jane pomyślała, że chyba nigdy wcześniej nie wypowiedziała tych słów, i to wypełniło ją szczęściem oraz nadzieją.

- Nawet jeśli kiedyś skryjesz się we własnym wnętrzu, wrócisz do mnie, prawda?

- Zawsze będę wracał. - Tym razem w głosie Samuela nie słychać było wątpliwości.

Jane wspięła się na palce, by go pocałować.

- Witaj w domu, Samuelu - powiedziała.